

Wszyscy do urn wyborczych!

odgłosy



22 (515)

1. VI. 1969 r.

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

**Dziś w numerze: Rozmowy z kandydatami • Krośniewicki zajazd • Deszcz
• Początek dał Grunwald • IX Kaliskie Spotkania Teatralne • Blaski i cienie
historii Polski XVII wieku • Węch**



Fot. A. Wach

KONRAD FREJDLICH

Tyle PODRÓŻY...

Tramwaj objężdża strojne osiedle „Wrocław-Zachód”.

Na krańcówce „trzynastki” szczypie w oczy dym przejeżdżających nie opodal pociągów, kolumna aut czeka na podniesienie kolejowego szlabanu i tylko pies, zazdrośnie odprowadzany wzrokiem przez kierowców, znikają w mrocznym wnętrzu podziemnego przejścia. Po drugiej stronie toru zaczyna się wąska, o wiele za wąska ulica Pstrowskiego, na której nie ma domów mieszkalnych ani sklepów. Tuż panoszy się tylko przemysł.

A przecież na tej fabrycznej, ale zadbanej ulicy, przeszłość domaga się rekonstrukcji, jak przed laty domagały się rekonstrukcji wypalone do cna hale produkcyjne i zryty bombami bruk. Bo przejmując znowu w swoje ręce Wrocław, przywracając Odrze jej prastare, polskie brzmienie, wchodziliśmy w dymy pożarów, w rumowiska, w martwe usypiska gruzów. I właśnie tu, za żelazną, niezbyt okazałą bramą, gdzie już pokrył się patyną czasu napis PAFAWAG, na wąskiej ulicy położonej daleko od śródmieścia, zapoczątkowany został polski Wrocław. Tętniący życiem i pracą; dzisiejszy.

Tu robi się teraz wagony. Robi się całe pociągi, które rankiem, podzwaniając metalem na zwrotnicach, wyruszają w swoją pierwszą, próbną jeszcze podróż, a później przecinają wzdłuż i szerz całą Europę.

Ale tutaj nikt nie odprawia ekspresów i nie ma podróży. Ludzie w kombinizonach trzymają w rękach wiertła elektryczne albo mają przewieszzone przez ramię skrzynki z narzędziami. Gdy ich spyta o zawód, odpowiadają: elektryk, mechanik, stolarz. W mieście ludzie mówią o nich: wagoniarze. I ci wagonia-

Dalszy ciąg na str. 4

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

Jubileusz BEZ fanfar

Ano, stuknęło Towarzystwu Przyjaciół Dzieci 50 lat!

Ten jubileusz odbył się bardzo cicho. Wbrew społecznemu obyczajowi obyło się bez akademii, gromkich przemówień, biesiadnych toastów, a nawet... bez dekoracji państwowymi odznaczeniami. (Podobno będą nieco później).

Ale czy w tym wypadku ze skromnością, jaką ten jubileusz został skwitowany, nie przesadzono?...

Nie miejsce tu na sprawozdanie z działalności Towarzystwa ani nawet z Krajowego Zjazdu, jaki się odbył w kwietniu br. Chcę jedynie z czytelnikami „Odgłosów” podzielić się garścią refleksji.

Refleksje te, to i zaduma nad przeszło-

ścią i próba określenia roli i miejsca TPD w naszym współczesnym życiu.

Myśl więc biegnie do tych niestrudzonych działaczy społecznych, którzy bez rezultatu zabiegali u władz carskich o zalegalizowanie towarzystwa, które by podjęło się zorganizowania opieki nad dzieckiem. Chodziło im, oczywiście, o dziecko biedne, dziecko żyjące w nędzy. Uprzymiśnijmy sobie, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia śmiertelność dzieci w wieku do lat 5 stanowiła w Warszawie ponad 60 proc. ogólnej liczby zgonów!

Ci niezmordowani społecznicy to głównie przedstawiciele polskiej lewicy i nie tedy dziwnego, że dopiero po Rewolucji 1905 r. i po strajku szkolnym udeje im

się powołanie w Warszawie Towarzystwa Opieki nad Dziećmi.

Po wyzwoleniu w r. 1919 przy Centralnym Komitecie Wykonawczym PPS powstaje „Robotniczy Wydział Wychowania Dziecka i Opieki nad Niem”, obejmujący początkowo teren b. Kongresówki a dopiero w r. 1926 po połączeniu się z analogiczną instytucją działającą na terenie b. zaboru austriackiego powstaje Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

W Łodzi oddział RTPD powstaje w roku 1923. W skład pierwszego zarządu weszli: Dorota Kłuszyńska (przewodnicząca), Eugeniusz Ajnenkiel (sekretarz) oraz człon

Dalszy ciąg na str. 3



Słowo: Polska szczególnie często przewijało się w ub. tygodniu w komentarzach prasy europejskiej. Są po temu następujące powody: propozycja Władysława Gomułki, zgłoszona pod adresem NRF zawarcia układu o ostatecznym charakterze granic na Odrze i Nysie, dwudniowe rozmowy polsko-rumuńskie oraz wizyty w Warszawie: fińskiego ministra spraw zagranicznych — Karjalaina wraz z małżonką i Gustava Husaka. Wszystkie te wydarzenia układają się zresztą w jeden logiczny ciąg — naszego działania w kierunku zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

O wystąpieniu Władysława Gomułki na spotkaniu z wyborcami pisaliśmy już w ub. tygodniu. Słusznie wówczas przewidywaliśmy, że międzynarodowa część tego wystąpienia, a zwłaszcza obszerny fragment poświęcony problematyce niemieckiej, znajdzie szeroki oddźwięk w świecie.

Wśród rozlicznych głosów polityków i prasy zwraca oczywiście szczególną uwagę wystąpienie min. Brandta, będące pośpieszną odpowiedzią na polską propozycję. Niestety — nie przyniosło ono nowych elementów. W powodzi słów o „woli pojednania” przywódca SPD zawarł w istocie odpowiedź negatywną na sugestie zawarcia układu, podkreślając, że NRF nie zrezygnuje z uregulowania sprawy granic w traktacie pokojowym. W ten sposób uchylił się on od podjęcia kroku, który mógłby mieć decydujące znaczenie dla europejskiego bezpieczeństwa. W zamian natomiast powtórzył gotowość wymiany oświadczeń o rezygnacji z użycia siły, co oczywiście niczego nie rozwiązuje.

Mimo iż Brandt nie wyszedł naprzeciw propozycji zawarcia układu — na wzór zgorzelenego, uznającego nienaruszalność granicy na Odrze i Nysie — znalazł się pod ostrzałem polityków CDU i przywódców ziarnokostu. Ci kategorycznie odrzucając myśl o uznaniu granic, dopatrzili się w przemówieniu Gomułki chęć... poróżnienia partii tzw. „wielkiej koalicji” na cztery miesiące przed wyborami do Bundestagu. Typowy to przykład megalomanii kół odwetu-u.

Ta różnicowana reakcja nie jest niespodzianką — potwierdza tylko ocenę, jaką w swym wyborczym wystąpieniu dał W. Gomułka.

Polska propozycja z 17 maja budzi w Europie duże zainteresowanie. Będzie musiał do niej nowo wracać także Brandt, jeśli nie jako wicekanclerz i minister koalicyjnego rządu, to z pewnością jako przywódca SPD.

Jak już wspomnieliśmy — w europejskiej prasie szerokim echem odbiły się również warszawskie rozmowy wysokich przedstawicieli Polski i Rumunii. Opublikowany po ich zakończeniu komunikat podkreśla, że przedmiotem prowadzonego przez dwa dni dialogu były głównie stosunki bilateralne, ale również zagadnienia międzynarodowe. Postanowiono dalej pogłębiać braterską współpracę we wszystkich dziedzinach i zapewniać rozwój wszechstronnych stosunków polsko-rumuńskich.

Obie strony podkreśliły doniosłość decyzji budapeszteńskich sprzed 2 miesięcy oraz konieczność uznania europejskiej rzeczywistości, a więc i nienaruszalności granicy, w tym na Odrze i Nysie.

W toku rozmów wymieniono także poglądy na sytuację w międzynarodowym ruchu komunistycznym. PZPR i RPK — podkreśla komunikat — pragną wnieść swój wkład w pomyślny przebieg moskiewskiej rady partii komunistycznych i robotniczych.

Spotkanie przywódców Polski i Rumunii w Warszawie dowiodło, iż mimo odmienności ocen i poglądów na niektóre problemy — to, co łączy nasze kraje i partie jest tak silne, iż może bez przeszkód torować drogę rozwojowi dobrych, przyjacielskich stosunków. Partyną zaś i otwartą dyskusją jest skuteczną drogą niwelowania rozbieżności.

Wydarzeniem tygodnia jest także 4-dniowa wizyta min. Karjalaina w Polsce. Jej znaczenie podkreśla zwłaszcza fakt, że Finlandia wysunęła propozycję w sprawie zorganizowania na jej terytorium konferencji, poświęconej europejskiemu bezpieczeństwu. Inicjatywa ta, będąca odpowiedzią na apel budapeszteński, spotkała się z poparciem wielu krajów, a w tym i Polski. Rozmowy warszawskie, które miały charakter konsultacyjny, nie zakończyły się oficjalnym komunikatem. W czasie jednak spotkania z polskimi dziennikarzami oraz w wywiadzie dla „Trybuny Ludu” min. Karjalainen podkreślił wyraźnie:

„Dyskutowaliśmy w Polsce, jak oba kraje, widząc cele i zadania konferencji ogólnoeuropejskiej i jej realizację. Naszym zdaniem, jeśli ma ona spełnić swe zadanie — praktycznie i politycznie, a nie tylko propagandowo — musi ona być bardzo starannie i roztępie przygotowana. Widzimy, że Polska podchodzi do sprawy konferencji w sposób konkretny i rzeczowy”.

We wspomnianym wywiadzie fiński minister pozytywnie ustosunkował się do propozycji Władysława Gomułki zawarcia układu między Polską a NRF o ostatecznym charakterze granicy na Odrze i Nysie, podkreślając, że Finlandia popiera każdy krok mający na celu wyjaśnienie i pokojowe rozstrzygnięcie wszystkich spornych problemów w Europie.

Przedmiotem rozmów były także zagadnienia, związane z aktualną sytuacją w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie.

W. SŁAWSKI

Rozmowy z kandydatami — Rozmowy

Redakcja „Odgłosów” zwróciła się do tow. Barbary Natorskiej — przewodniczącej Zarządu Głównego Zw. Zaw. Prac. Przem. Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, posła na Sejm w IV i kandydata na posła w V kadencji Sejmu PRL, członka Prezydium CRZZ i członka egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR, z prośbą o rozmowę na temat Jej pracy poselskiej w minionej kadencji Sejmu.

Barbara Natorska



REDAKCJA: Jakie najważniejsze problemy znajdowały się w polu widzenia Waszej działalności poselskiej w IV kadencji Sejmu?

B. NATORSKA: Bardzo ożywioną i owocną działalność na forum Sejmu rozwijał cały Łódzki Zespół Poselski składający się z 11 posłów. W czasie tej kadencji zajmowaliśmy się wieloma ważnymi i żywotnymi sprawami dla miasta oraz jego mieszkańców. Należały do nich np. takie zagadnienia jak: rozwój i unowocześnienie łódzkiego przemysłu, dalsza poprawa efektywności naszej gospodarki, budownictwo mieszkaniowe, ochrona zdrowia, podnoszenie na wyższy poziom gospodarki komunalnej naszego miasta, usprawnienie komunikacji miejskiej, poprawa warunków pracy załóg pracowniczych oraz ogólnych warunków socjalno-bytowych mieszkańców naszego miasta i szereg innych kwestii. Problemy te bezustannie zaprzętały naszą uwagę i nadawały kierunek naszym poczynaniom i całej naszej poselskiej działalności.

REDAKCJA: Czy wobec tego zechciałaby Towarzyszka powiedzieć kilka słów o działalności komisji, której była członkiem?

B. NATORSKA: Pełna nazwa tej komisji jest dość długa: Sejmowa Komisja Przemysłu Lekkiego, Rzemiosła i Spółdzielczości Pracy. Z Łodzi wchodził w jej skład posłowie: tow. Irena Sroczyńska, która przewodniczyła tej komisji, tow. Józef Spychalski, tow. Henryk Golińska i ja.

W ramach prac komisji najbardziej interesowały nas sprawy włókiennicze. Łódź jest miastem włókienniczym, więc siłą rzeczy sprawy tego środowiska wysuwają się na czoło. Załogi naszych fabryk nurtują różne problemy techniczne i produkcyjne, a więc zagadnienia postępu technicznego, unowocześnianie procesów technologicznych, poprawa jakości produkcji itp. A obok tego — sprawy bhp, warunków socjalno-bytowych i kulturalnych, lepszej opieki nad dziećmi, sprawy wypoczynku po pracy i wiele innych. Są to bez wątpienia sprawy ważne. Dyskutowaliśmy je, między innymi, bardzo szeroko w komisji, a szereg z nich ujęliśmy w konkretne wnioski — dezyderaty, które wyrażały poselską opinię

o sytuacji i potrzebach w wielu dziedzinach. Zabiegaliśmy następnie o wzięcie pod uwagę tych wniosków przy pracach nad wieloletnim i rocznymi planami gospodarczymi.

REDAKCJA: Czy można byłoby bliżej określić problematykę pracy komisji i dowiedzieć się, w jakim stopniu w pracach komisji były uwzględniane sprawy Łodzi?

B. NATORSKA: Przede wszystkim chcę podkreślić, iż na tle spraw ogólnych, sprawy łódzkiego przemysłu lekkiego i jego potrzeby, zajmowały zawsze ważne miejsce w pracach komisji. Główną sprawą, z którą wielokrotnie występowaliśmy, jest zwiększenie środków na rozwój i modernizację przemysłu lekkiego. Działalnością poselską wspieraliśmy uzasadnione w tej sprawie wnioski, wynikające z programu rozwoju i rekonstrukcji przemysłu w naszym mieście, opracowanego przez łódzką instancję partyjną.

Z zadowoleniem trzeba stwierdzić, iż dezyderat ten spotkał się ze zrozumieniem i uznaniem, czego wyrazem było, i będzie, dalsze zwiększanie środków inwestycyjnych na rozbudowę i modernizację naszego przemysłu.

Oczywiście, nieobojętna była dla nas sprawa wykorzystywania zwiększających się nakładów inwestycyjnych oraz uzyskiwanych z nich efektów. Problem ten znajdował się w centrum uwagi komisji oraz był przedmiotem szeregu dezyderatów, kierowanych do różnych resortów, odpowiedziałnych za wykonawstwo inwestycji.

Na drodze inwestycji — modernizacji przemysłu muśną następować równolegle stałe i coraz bardziej odczuwalne zmiany w poprawie warunków pracy i warunków socjalno-bytowych załóg pracowniczych, na co w pracach komisji i Łódzkiego Zespołu Poselskiego niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę.

REDAKCJA: A jeśli chodzi o zamierzone inwestycje w przemyśle lekkim?

B. NATORSKA: — Postulując zwiększenie środków inwestycyjnych, zabiegaliśmy o odtworzenie wielu starych obiektów, o modernizację przemysłu lekkiego w naszym mieście. Dotyczy to wielu zakładów, prawie wszystkich branż.

Należy się spodziewać, iż przyszedł 5-lata przyniesie w tej dziedzinie dużo korzystnych zmian. Sporo łódzkich fabryk podda się bardziej gruntownej modernizacji, a niektóre z nich otrzymają nowe, tzw. otworzeniowe obiekty.

REDAKCJA: Jakie sprawy stały na porządku dziennym obrad komisji w zakresie produkcji przemysłowej?

B. NATORSKA: Poza sprawą generalną, to jest inwestycjami, o której już mówiłam, takie na przykład zagadnienia jak: wzornictwo, rozwój i doskonalenie zaplecza technicznego i naukowo-badawczego, rozwój produkcji i poprawa jakości maszyn włókienniczych, rozszerzenie asortymentu i podniesienie jakości surowców pochodzenia chemicznego,

przygotowanie wysoko kwalifikowanych kadr dla potrzeb przemysłu i wielu innych.

Oczywiście z tymi zagadnieniami wiązaliśmy integralnie sprawy warunków pracy i warunków socjalno-bytowych czemu daliśmy na przykład wyraz w przeprowadzonej na komisji ocenie realizacji ustawy o bhp, ocenie realizacji inwestycji socjalno-kulturalnych. Dużo uwagi poświęciliśmy sprawom ogólnobytowym, bardzo ważnym m.in., z punktu widzenia potrzeb społecznych mieszkańców tak wielkiego miasta przemysłowego, jakim jest Łódź.

REDAKCJA: Czy zechciałabyście powiedzieć jakim?

B. NATORSKA: Na przykład sprawa dalszego rozwoju usług, które, mimo ciągle następującej poprawy, nie zaspokajają w pełni potrzeb społeczeństwa, a w szczególności znacznej liczby pracujących kobiet, szczególnie żywo odczuwających potrzebę doskonalenia działalności usługowej oraz dalszej rozbudowy sieci placówek, świadczących różne usługi. Na tym właśnie tle zajmowaliśmy się sprawami rozwoju rzemiosła. Dużą uwagę przywiązywaliśmy także do problemów poprawy zaopatrzenia rynku, szczególnie w wyroby przemysłu lekkiego oraz różne artykuły, produkowane przez zakłady drobnej wytwórczości.

Nie sposób omówić tu wyczerpująco wszystkich kwestii, które były przedmiotem naszego zainteresowania i działalności. Ogólnie stwierdzić mogę, iż obejmowały one szeroki wachlarz ważnych spraw natury gospodarczej i socjalno-bytowej.

W sumie odbyliśmy 46 posiedzeń oraz sformulowaliśmy 65 dezyderatów o ważnej społecznie treści, które skierowaliśmy do różnych resortów, instytucji centralnych i rządu. Tak ukierunkowana działalność komisji sejmowych przyczyniła się — w naszym odczuciu — między innymi do poprawy pracy w wielu dziedzinach naszego przemysłu, a także wywierała korzystny wpływ na warunki życia załóg i mieszkańców Łodzi.

REDAKCJA: A jak była powiązana praca łódzkich posłów na terenie Sejmu — z ich działalnością na terenie miasta?

B. NATORSKA: Mówiłam już o tym, że na forum Sejmu staraliśmy się prezentować to, co nurtowało i było ważne dla mieszkańców naszego miasta. Było to taktem i wiezi, jaką utrzymywaliśmy dzięki żywym kontaktom z naszymi mieszkańcami.

REDAKCJA: Ile takich spotkań odbyli łódzcy posłowie w IV kadencji?

B. NATORSKA: Odbyliśmy ich ponad 750, tj. o ponad 250 więcej, niż w ubiegłej kadencji. Inicjatorami i organizatorami spotkań były Komitety FJN, organizacje partyjne i społeczne. Najbardziej popularne i najbardziej liczne były spotkania posłów z załogami fabryk.

REDAKCJA: Jakie sprawy na odbywających się spotkaniach poruszają wyborcy w rozmowach z Wami i jakie w związku z tym nasuwają się wnioski?

B. NATORSKA: Rozmawiamy o wszystkim, a wnioski są jednoznaczne: społeczeństwo dostrzega i odczuwa pozytywne zmiany, zachodzące w naszym kraju i w swoim mieście, aprobując

je i w pełni docenia wysiłki Partii i rządu PRL, zmierzające do polepszenia warunków bytowych społeczeństwa. Aprobując generalne kierunki rozwoju kraju i swego miasta, zawarte w programie wyborczym FJN, łódzcy wyborcy wskazują jednak na nieprawidłowości i niedociągnięcia, występujące w gospodarce miejskiej, żądają usunięcia występujących jeszcze w wielu dziedzinach niedomagań i błędów. W następnej kadencji na te postulaty wyborców muszą zwrócić pilną uwagę postawie i nowo wybrane władze naszego miasta.

Charakterystyczne jest, że przez wszystkie spotkania przewijają się również problemy dotyczące młodzieży. Dyskutanci wyrażają opinię, że w wychowaniu i przygotowaniu młodzieży do życia powinno brać udział całe społeczeństwo, a nie tylko rodzice i nauczyciele. Takie stanowisko jest słuszne i świadczy o dużej dojrzałości i odpowiedzialności naszego społeczeństwa.

Rozmawiał:
Włodzimierz Stokowski

Zbigniew Nienacki



„ODGŁOSY”: Był Pan radnym WRN w Łodzi w minionej kadencji i brał Pan udział przede wszystkim w pracach Komisji Kultury WRN. Jak Pan ocenia minioną kadencję i sprawy kulturalne województwa łódzkiego w tym okresie czasu.

ZBIGNIEW NIENACKI: Cztery minione lata, wyznając, minęły mi dość szybko. Był to u mnie okres stosunkowo dużej aktywności pisarskiej, (napisałem i wydałem dwutomową powieść „Liście dębu” o Ziemi Łódzkiej), zafascynowała mnie też trochę praca społeczna w wojewódzkiej radzie, zafrapowały mnie problemy, z którymi musiałem się zetknąć od zupełnie innej niż dotąd strony. Przez te cztery lata Komisja Kultury WRN zbierała się regularnie co miesiąc, a posiedzenia jej poprzedzały wizyty radnych w terenie; na każdym posiedzeniu omawiano i dyskutowano niekiedy po kilka istotnych problemów kulturalnych Ziemi Łódzkiej, nie trudno więc sobie wyobrazić, że chyba niewiele jest zagadnień z tej dziedziny, które nie zostałyby w jakiś sposób spenetrowane. Odbyła się też specjalna sesja WRN poświęcona zagadnieniom kultury, uchwalono na niej Program Rozwoju kultury w woj. łódz-

z kandydatami — Rozmowy z kandydatami — Rozmowy

kim w latach 1966—70. Sądzę również, że nie będzie przesadą, jeśli stwierdzę, że te cztery ubiegłe lata przyniosły wiele zmian na dobre na mapie kulturalnej naszego województwa. W ostatnich latach kosztów ponad trzech i pół miliona złotych wybudowano Powiatową Bibliotekę Publiczną w Kutnie, a ponad dwa miliony złotych kosztowała budowa podobnej powiatowej biblioteki w Wieruszowie. Powiększono lokal Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zduńskiej Woli i w Pabianicach oraz wyremontowano pomieszczenia Miejskiej Biblioteki w Zgierzu. Ponad 7 milionów złotych wydatkowano na budowę Wojewódzkiego Zakładu Sprzętu Kinotechnicznego WZK, a 17 milionów, oto koszt budowy niedawno oddanego do użytku Powiatowego Domu Kultury w Radomsku. Naprawdę, mamy duże osiągnięcia, jest się czym wylegitymować przed wyborcami, choć nie chciałbym, aby posądzono mnie o tani optymizm. Do zrobienia również pozostało bardzo wiele.

„ODGŁOSY”: A właśnie. Jakże istnieją potrzeby w tym zakresie?

ZBIGNIEW NIENACKI: Nie mówmy może o potrzebach bo te są ogromne. Socjalizm rozbudził w szerokich rzeszach społeczeństwa ogromny głód kultury. I tym ambicjom wsi musimy wychodzić naprzeciw, a mają one różne formy. Niekiedy przybierają one kształt czynu społecznego gromady, tak właśnie powstały Wiejskie Domy Kultury w Jelonekach, w Brzezinach, w Chrustach, Ojrzynie, w Rokicinach. Socjalizm właśnie wyzwala te inicjatywy, a działacze kultury starają się okazać pomoc, na jaką ich stać. Władze stać na bardzo wiele, ale zarazem jest to bardzo mało w stosunku do tego niezgłębionego morza potrzeb. Przede wszystkim trzeba będzie pomyśleć o kinach dla województwa. Wprawdzie w ramach remontów, do projekcji panoramicznych dostosowano u nas aż 9 kin, w tym 5 obsługujących wieś, wzrósł

wskaźnik ilości miejsc w kinach, ale powiedzmy prawdę: województwo łódzkie należy do najsłabiej na syconych kinami regionów kraju. I podobnie z bibliotekami. Wybudowaliśmy kilka nowych bibliotek, ale z powodu trudności lokalowych trzeba było zamknąć biblioteki w Pajęcznie i w Poddębicach. Starzej się nasze księgozbiory, trzeba je wciąż odświeżać i powiększać. A więc kina, biblioteki i księgozbiory, oto trzy potężne dziedziny, które wymagają szczególnej troski.

„ODGŁOSY”: A jak Pan widzi rolę łódzkiego środowiska literackiego, jego udział w realizacji tych zadań?

ZBIGNIEW NIENACKI: Książki pisarzy łódzkich już zbłądziły pod strzechy na wsi łódzkiej, (tych strzech jest zresztą coraz mniej). A wciąż wzrasta udział pisarzy łódzkich w życiu społecznym, domów kultury. Nasza wieś zna wielu pisarzy łódzkich nie tylko z książek, ale i z osobistych kontaktów, których chyba powinno być coraz więcej. W Programie Rozwoju kultury przeczytać można zobowiązanie, że będzie się „kontynuować współpracę ze Związkiem Literatów Polskich w dziedzinie upowszechnienia kultury i interesować sprawami regionu”. Dotychczasowa współpraca, rozwijana przez takie formy, jak patronaty nad świetlicami, spotkania autorskie, konkursy literackie, przyniosła pozytywne rezultaty w postaci wzrostu zainteresowania literaturą oraz wiele nowych wartościowych książek o Ziemi Łódzkiej. Formy tej współpracy należy wzbogacać i rozszerzać. Wydaje mi się, że wskazówki zawarte w Programie są realizowane. Wiem również, że i Wydawnictwo Łódzkie ma kilka nowych ciekawych pozycji o naszym regionie, które czekają na druk. Wydaje mi się, że przyszłe lata będą urodzajne i na nowe książki o Ziemi Łódzkiej i na nowe głębsze kontakty pisarzy z terenem. Szczególnie zachęcam młodych pisarzy do zwrócenia uwagi na

szeroko pojęte sprawy naszego regionu. Czekają na nich nagrody w konkursach, przede wszystkim czekają niezwykle wdzięczni czytelnicy. Ta nasza ziemia jest niezwykle ciekawa z pisarskiego punktu widzenia, żyją w naszym województwie ludzie, których biografie aż proszą się o pióro.

Benon Liberski



„ODGŁOSY”: — Jak Pan, jako twórca i organizator, ocenia obecny rozwój i osiągnięcia łódzkiego środowiska plastycznego?

BENON LIBERSKI: — Myślę, że łódzkie środowisko plastyczne stanowi aktywny i prężny zespół twórców i nie ma chyba żadnej ogólnopolskiej imprezy, w której nie byłbyśmy reprezentowani jako środowisko. Również tam, gdzie dociera polska plastyka, pojawiają się — przynajmniej pojedynczo — nazwiska twórców związanych z Łodzią. W ubiegłym roku np., stosunkowo

dużo kolegów z naszego ośrodka wystawiało swoje prace w krajach skandynawskich, graficy wystawiali w Tokio, malarze — w Paryżu.

„ODGŁOSY”: — Czy jest to jednakże udział wystarczający, jeśli zważywszy, że wystawiali na tych wystawach kilkunastu — kilkudziesięciu twórców z naszego miasta — podczas gdy w Łodzi jest w tej chwili ok. 500 członków ZPAP?

BENON LIBERSKI: — Uważam, że jest to udział, który się liczy. Trzeba bowiem pamiętać, że na owych 500 członków ZPAP, przeszło połowa — to projektanci przemysłowi, którzy spełniają ważną funkcję w polskim wzornictwie, ale nie zajmują się w zasadzie „czystą plastyką”, czyli tym, co chcą oglądać organizatorzy wystaw w kraju i za granicą. Dlatego też naszym dążeniem jest, aby projekt i wzór użytkowy wyszedł poza anonimowość, która go dotychczas otacza i nabrał wyższej rangi w działalności artystycznej. Temu celowi — myślę — dobrze przysłużyła się otwarta w kwietniu w Łodzi i zorganizowana przez nasz ośrodek — I Ogólnopolska Wystawa Tkaniny Użytkowej. Wieksość nagrodzonych na tej wystawie projektów — to prace łódzian. W tych dniach otwieramy również wystawę pokonkursową, zorganizowaną przez nasz okręg — I Ogólnopolskiego Konkursu Graficznego. Przepuszczam, że poziom wystawionych prac będzie wysoki.

Za poważne osiągnięcie uważam powstanie w Łodzi doświadczalnej pracowni graficznej, będącej jedynym w kraju producentem światłodrukowych reprodukcji malarstwa. Jest w tym

ważna zasługa kolegi Juliusza Książka — dyrektora i organizatora Doświadczalnych Pracowni Artystycznych w Łodzi.

Szerszemu wyjściu „w Polskę” przez nasze środowisko, sprzyjają niewątpliwie ogólnopolskie plenery organizowane wspólnie z Wojewódzką Radą Narodową w Łodzi. Było ich dotychczas cztery. Gościliśmy na nich kolegów z wielu ośrodków w Polsce.

„ODGŁOSY”: — Na pewno nie jest to wszystko, co łódzcy plastycy chcieliby osiągnąć. Są przecież inne pilne potrzeby, są plany bieżącej i przyszłej działalności...

BENON LIBERSKI: — Tak. Cierpimy wszyscy w Łodzi na dotkliwy brak wystaw. Na dobrą bowiem sprawę nie możemy wprowadzić do naszego miasta żadnej atrakcyjniejszej wystawy o poważniejszej renomie, nie mając do tego celu galerii z prawdziwego zdarzenia. Myślę tu przede wszystkim o wymianie zagranicznej. O galerii w Parku Sienkiewicza nie może tu być mowy, ponieważ nie posiada ona odpowiedniego zaplecza. Dzieła sztuki o wielkiej nieraz wartości muszą posiadać odpowiednie zabezpieczenie; wymagają one gwarancji, że zostaną zwrócone w stanie nieporuszone. Nie mając odpowiedniego zaplecza nie byłibyśmy w stanie nikomu dać takiej gwarancji. Dlatego też wciąż na pierwszym miejscu naszych potrzeb figuruje galeria. Mam pewne prognozy, że nowa galeria zostanie otwarta w 1973 roku podczas uroczystości 550-lecia istnienia Łodzi. Byłaby ona zlokalizowana przy ul. Tuwima 15, gdzie znajduje się dziś pawilon sklepowy.

Na razie możemy realizować tylko plany bieżące. Chcielibyśmy co trzy lata organizować ogólnopolskie konkursy graficzne. Atrakcją tych imprez byłoby wydawanie przez naszą pracownię graficzną teki reprodukcji nagrodzonych prac. Chcemy również zacząć organizować co 2—3 lata ogólnopolski konkurs plastyczny. Nagrodzone obrazy moglibyśmy na bieżąco reprodukować. Myślę, że wykonanie tych planów w znacznym stopniu wyszło by naprzeciw potrzebom społecznym w dziedzinie upowszechniania plastyki i propagandy sztuki.

„ODGŁOSY”: — Zostając radnym — jakim sprawom środowiska plastycznego, poświęci Pan najwięcej uwagi?

BENON LIBERSKI: — Oczywiście — sprawie budowy galerii. Jest to sprawa wielkiej wagi nie tylko dla środowiska plastycznego, ale w ogóle dla całej łódzkiej kultury. Choć wiem, że powstanie takiej galerii w centrum miasta, nie załatwi jeszcze całej sprawy. Na obrzeżach miasta powstały wielkie osiedla, do których dzieła plastyczne musi dotrzeć. Rzecz jasna, nie możemy sobie pozwolić na budowanie galerii dla każdego osiedla, ale są tam domy kultury, kluby, jakieś sale, gdzie można i należy eksponować plastykę. Mam nadzieję, że pomysły te będzie można wkrótce zrealizować. Jako radny chciałbym brać również udział w rozwiązywaniu wszystkich spraw dotyczących upowszechniania kultury w Łodzi. Poświęciłbym tu więcej uwagi alarmującej sprawie zmniejszania się ilości miejsc kinowych w naszym mieście.

Rozmowę przeprowadził:
I. G. ROMANOWSKI

Jubileusz BEI fanfar

Dalszy ciąg ze str. 1

kwie zarządu: Anatazy Łęcki (tramwajarz), Stanisława Goruchowa (tkaczka) i Zofia Remiszewska (żona ówczesnego starosty).

Jest rzeczą dla Łodzi niezmiernie charakterystyczną, że oddział RTPD oprócz pracy wychowawczej, której terenem były tzw. „Ogniska”, za główny kierunek działania przyjął — walkę z gruźlicą wśród dzieci. Oto — nazwiska lekarzy łódzkich — równocześnie działaczy RTPD Stefan Kopciński, ławnik Wydziału Oświaty i Kultury, Seweryn Sterling, Henryk Kluszyński, dyrektor Kasy Chorych i Jadwiga Szustrowa, kierowniczka pierwszej Przyszłości Przeciwegruźliczej dla dzieci, mieszkającej się przy ulicy Kilińskiego 49. Eugeniusz Ajnenkiel wspomina: „W roku 1927 Przyszłością zatrudniła 7 lekarzy pediatrię, 1 lekarza internistę, 1 rentgenologa, personel zaś pomocniczy liczył 22 osoby. Przy końcu 1928 roku otworzyliśmy oddział tej przyszłości w czteropokojowym lokalu przy ul. Dębowej. W

tym też czasie w obu Przyszłościach zatrudniano już 16 lekarzy, godzin ordynacyjnych było 7.791, chorych w leczeniu 7.007, porad udzielono 26.230, naświetlano lampą kwarcową 3.815 osób”. (Eugeniusz Ajnenkiel — Mój udział w pracach RTPD w Łodzi. Maszynopis wspomnień, złożony w biurze Zarządu Miejskiego TPD w Łodzi). Tak się zaczęła walka ruchliwego łódzkiego oddziału RTPD z proletariacką chorobą robotniczych dzieci. Otwiera się nowe Poradnie, prowadzi się kolonie lecznicze, umieszcza się dzieci w sanatoriach. Tuż przed wojną Poradnie Przeciwegruźlicze RTPD w Łodzi opiekują się 13.507 chorymi dziećmi.

Ośrodkiem poważnej pracy wychowawczej RTPD w Warszawie stał się Dom w Helenowie. Powstał on dzięki fundacji Kazimierza i Bronisławy (siostry Marii Skłodowskiej-Curie) Dłuskich. Przekazali oni Towarzystwu zalesiony teren o pow. 20 ha w Aninie pod Warszawą. Jedynym warunkiem postawionym przez ofiarodawców była świeckość wychowania dzieci w Zakładzie. Świeckość, postępowe wychowanie dzieci leżało u podstaw wszelkiej działalności pedagogicznej RTPD. Te założenia były rzeczą jasną solą w oku władz oświatowych Polski międzywojennej.

Po wyzwoleniu RTPD natychmiast wznowia swą działalność. W roku 1949 po połączeniu z Chłopskim Towarzystwem Przyjaciół Dzieci powstaje Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

Towarzystwo działa teraz w nowych warunkach, kiedy sprawy oświaty i wychowania otoczone są szczególną pieczą ludowego państwa. Wydawać by się mogło, że w takiej sytuacji TPD tracić będzie rację bytu. Prawdą jest jednak i to, że w naszym społeczeństwie budującym socjalizm dokonują się zmiany nie tylko w

sferze układu klasowo-społecznego, ale również w sferze wielokładowych stosunków międzyludzkich. Rodzą one nowe potrzeby, za którymi nie może natychmiast nadążyć aparat administracyjno-państwowy. Te nowe potrzeby zaspokajać musi, w pierwszym przynajmniej etapie, samo społeczeństwo, zanim zostaną one przejęte w sposób instytucjonalny przez aparat państwowy.

Towarzystwo Przyjaciół Dzieci powinno sygnalizowanym przez życie potrzebom w dziedzinie wychowania i opieki nad dzieckiem wychodzić naprzeciw, organizując w tym celu społeczeństwo, wyręczając niejako w ten sposób państwo ludowe, które jeszcze w danym momencie owych potrzeb zaspokoić nie jest w stanie. Przez mnie je dopiero wówczas, kiedy owe formy działania rozrosną się, przestając możliwości organizacji społecznej, a z drugiej strony — nabyte w toku społecznej działalności doświadczenie można wykorzystać ujmując je w formę określonych zarządzeń, instrukcji itp.

Tak było w swoim czasie z różnymi formami opieki pozalekcyjnej i pozaszkolnej, jak praca w świetlicach i na placówkach letniego wypoczynku dzieci i młodzieży. Tak się stało przed dwoma laty, kiedy państwo przejęło prowadzone przez TPD od szeregu lat poradnie społeczno-wychowawcze i — nieco wcześniej zorganizowane — formy opieki nad dziećmi specjalnej troski. Taka kolej rzeczy jest sensowna i bardzo naturalna.

Obecnie poza wieloma kierunkami działania głównie na odcinku opieki nad dzieckiem kalekim, bądź z tzw. społecznego marginesu, przed TPD stoją dwie sprawy, których na razie przynajmniej państwo nie jest w stanie objąć: opieka nad dzieckiem w miejscu zamieszkania i —

wypoczynek wakacyjny dzieci wiejskich. I to będą zapewne główne kierunki działania TPD w ciągu lat najbliższych. Miałbym nadzieję, że z tych poważnych zadań wymagających długiej pracy Towarzystwo wywiąże się należycie. Wiara w spełnienie tych nadziei wynika z faktu, iż szeregi członków Towarzystwa stanowią miliony rzesza społeczników, ludzi oddanych bez reszty szlachetnej pasji bezinteresownej pracy dla dobra dziecka. A skoro z tymi sprawami TPD się upora, przyjdzie kolej na następne, jakie zrodzi życie. Bo, jak to słusznie stwierdził minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, przemawiając na Krajowym Zjeździe TPD: „za nonsens należy uważać pogląd, że sprawa opieki nad dzieckiem to wyłączna domena instytucji państwowych”.

Powiedział również, że nie chce czuć się na zjeździe jak na jubileuszu, który rozpamiętuje tylko zasługi przeszłości, ale jak na zjeździe organizacji bardzo prężnej, żywotnej i ogromnie Państwo i społeczeństwu potrzebnej. TPD bowiem, działając jako jedno z ogniw FJN, powinno odegrać w naszym społecznym życiu funkcję wiodącą i integrującą wysiłki innych organizacji i instytucji społecznych w dziedzinie kształtowania stosunków społeczeństwa do spraw dziecka oraz działalności inspiratorskiej zarówno w stosunku do innych organizacji mających również własne zadania w dziedzinie opieki nad dzieckiem, jak i w stosunku do władz i instytucji państwowych.

Są to zadania bardzo poważne. Należy sądzić, że choć jubileuszowy zjazd TPD odbył się bez decydującej fanfary, rozpocznie on jednak nowy okres jeszcze bujniejszego rozwoju tej zasłużonej organizacji.

MIECZYSLAW WOŹNIAKOWSKI

Tyle PODRÓŻY...

Dalszy ciąg ze str. 1

rze pewnymi, sobie tylko wiadomymi ruchami dokonują jakichś skomplikowanych manipulacji na korytarzach i w przedziałach „poolmanów”. Może tylko wówczas, gdy znużeni przysiadają sobie na papieroska w polyskujących laminatami kabinach, żeby rozprostować kości, dają się na moment zwieść aurze dalekiej podróży.

Podróże, te prawdziwe, nie z imaginacji, są na razie krótkie. Tylko na długość hali. Mocno napina się stalówka i wagon, jakby od niechcenia zmienia stanowisko. W wytwie, którą uczynił swym odjazdem, dostrzec można na sąsiednich torach ciemne, stalowe kadłuby tylko kształtem kojarzące się z wagonami. Nie mają jeszcze drzwi ani okien. To pojazdy w pierwszej fazie montażu.

Za ścianą montuje się elektryczne trójczłony. Każdy zestaw stanowi oddzielny pociąg zdolny do samodzielnej jazdy. Można je łączyć także w długi, tasiemcowy pojazd sterowany przez jednego maszynistę. Takie żółto-niebieskie pociągi z automatycznie otwieranymi i zamykanymi drzwiami jeżdżą na liniach podmieskich.

Dla pośpiesznych montuje się specjalne lokomotywy elektryczne w sąsiedztwie, w skrajnej części hali. Są ciężkie, masywne, ale mogą także prowadzić dziesiątki wagonów towarowych. Z kabin maszynistów wychylają się monterzy: piekła się o coś, plan ich goni. Mają młode, bardzo młode twarze, ale znają się na robocie.

— Znać, to się oni znają — przyznaje od razu Mieczysław Ruszkowski, jeden z pierwszych pracowników „Pafawagu”. Ale przyznaje tak, jakby się jednocześnie pasował z myślami. — Wulkany, prawdziwe wulkany. W nas się wdali, bo my przecież nie byliśmy gorsi, a zaczęliśmy z niczego.

Przyjechał tu pod koniec czterdziestego czwartego. A właściwie przywieziono go, bo to był transport. Pruszkowski transport rozbitków z powstania warszawskiego, że są we Wrocławiu, dowiedzieli się dopiero na miejscu.

Mieszkał w lagrach i codziennie pędził go do pracy w zakładach „Famowerke”. Jeszcze wtedy nie przypuszczał, że to miasto, obce wtedy i nienawistne, stanie się jego miastem. Wtedy marzył tylko, żeby dożyć kłeski Niemców i znowu zobaczyć Warszawę. A front szybko się zbliżał.

Te ostatnie tygodnie były dla jeńców najtrudniejsze. Niemcy przetrucali ich z miejsca na miejsce, a nocami żandarmeria wyprowadzała ludzi w rejon przyfrontowy.

Zastanawia się chwilę, bo chce sobie dobrze przypomnieć tamten zimowy dzień roku 1945, kiedy w tajemnicy przed pilnującymi ich Niemcami prowadzili narady w barakach i mimo kłopotów językowych potrafili w swojej wielonarodowości grupie przeanalizować plan ucieczki. Gdy śmierć zaglądała w oczy, ludzie potrafili porozumieć się bez słów. Wtedy kiedy żandarmi znowu ich pędzili na ulice ogarniętego już przyfrontową paniką Wrocławia, wyrwali się z jeńczej kolumny. Żaden z nich nie umiał potem powiedzieć, jak długo to trwało. Zmarznieli na kość, głodni, słab-

nący z godziny na godzinę trwali w jakimś odrętwieniu, potem pragnęli nawet śmierci, ale nie mieli dość siły, aby wyjść jej na spotkanie. Wtedy kiedy nagle ujrzeni nad sobą jasny prostokąt światła i osłepieni nim mrużyli oczy, cieszyli się, że umrą w słońcu, w jaskrawej bieli śniegu i zanim padną na zawsze, odetchną jeszcze pełną pierśią.

— Wy, kto? — zapytał jakiś głos i zanim zdobyli się na odpowiedź, zanim jeszcze dotarli do ich świadomości, że słyszą śpiewną rosyjską mowę, ten sam głos dodał niepewnie — Plennieje?

Ruszkowski, choć osłabiony, pierwszy rzucił się z wyjaśnieniami, znał uroczą rosyjski. Jak powiedział swoim wybawcom, że jest z zawodu elektrykiem, radziecki oficer odwołał go na bok i przedstawił swoją propozycję: czy towarzyszyć elektryk nie pojedzie z ich oddziałem do Świętej Katarzyny, żeby uruchomić połowę elektrowni.

Ruszkowski trochę się wahał. Przecież nie wiedział, czy podola. Oficer wytłumaczył to sobie inaczej. Więc żeby ostatecznie przypieczętować porozumienie dodał z wielkim przekonaniem:

— Rozumiem, że was ciągnie do swoich. Wy pewnie warszawiak. To ja wam po-



Fot. A. Wach

wiem, że Wrocław będzie teraz już polski. Jak Warszawa.

W pałacu w Świętej Katarzynie, administrowanym teraz przez armię marszałka Rokossowskiego, Ruszkowski pracował z takim zapalem, jakby od jego umiejętności zależało życie, czy Wrocław rzeczywiście stanie się polskim miastem. O miasto trwały jeszcze walki. Wojska generała Niehoffa cofając się pod naporem Rosjan zostawiali po sobie ruiny i wypalone kamienie. Niemcy też orientowali się, że Wrocław powróci do Polski i znaczyli swój odwrót luną pożarów, aby prawowitym gospodarzem tej ziemi, zagrabionej przed wiekami, przekazać tylko pogorzelisk. Drugiego maja skapitulował Berlin, w cztery dni później poddał się Wrocław. I Ruszkowski, nieoczekiwanie dla siebie, postanowił udać się do zrujnowanego miasta, gdzie całymi miesiącami pracował jako jeńiec a teraz powracał jako człowiek wolny i prawowity obywatel tej ziemi.

Potem znowu zobaczył Warszawę i odnalazł swoją rodzinę w jakimś na wpół rozwalonym pokoiku, gdzie nocowali szesnastu osób. Wtedy narodził się z żoną. I przygodnymi pojazdami dotarli wreszcie do Wrocławia. Na zawsze. Był już czerwiec 1945 roku.

Parę tygodni wcześniej w tym samym kierunku podążała z Warszawy grupa operacyjna Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, która miała zabezpieczyć ocalałe zakłady i fabryczny sprzęt. W jej skład

wchodziła gromadka pracowników warszawskiej fabryki Lilpopa, którą Niemcy starli z powierzchni ziemi. Lilpopowcy mieli przejąć w posiadanie ponownie zakłady wagonowe „Linke Hofmann”, ale wojska generała Niehoffa broniły się jeszcze. Fabryka zamieniona została w twierdzę.

Grupa operacyjna zatrzymała się więc w Katowicach, a kiedy Wrocław został zdobyty, przeniosła się do Włodkowic. Pułkownik Szyr wydał polecenie, aby zająć się fabryką wagonów, ale tam stacjonowali teraz Rosjanie. Żądali pisemnego pełnomocnictwa. Specjalnie wydelegowany człowiek pojechał więc znowu do Szyra, a inni, nie tracąc czasu ścigali do Włodkowic maszyny do pisania, maszyny do liczenia, nawet obrabiarki. I tak to trwało do czerwca, zanim nie powrócił wystannik z upoważnieniem, urzędowym i skutecznym.

Wzięli się od razu do roboty. Jedni robili remanenty materiałów i maszyn na terenie fabryki, inni starali się odnaleźć plany urządzeń elektrycznych, wodociagowych i acetylenowych. Kiedy jednak uważniej przyjrzyli się zniszczeniu choć byli przygotowani na najgorsze, momentami wątpili w swoje siły. Budynki, w

cuskiej, mieszka inny zastępowy pracownik „Pafawagu”, Władysław Pokrowski. Do Wrocławia we wrześniu 1945 roku skierowała go Partia.

— Jako komunista... — powiedzieli mu w Warszawie, ale nie pozwili im skończyć.

— Jako komunista pojadę — oświadczył krótko.

Kraj czekał na wagony, więc jeszcze przed odbudowaniem fabryki trzeba było podjąć produkcję. Pod prowizorycznymi daszkami kuli żelazne ramy i wstawiali w nie deski. Takich dziesięć mocnych, o prawionych desek stanowiło bok wagonu. Z tym uporali się szybko, tylko z hamulcami nie mogli sobie jeszcze poradzić. Więc jeździli na zbudowane dworce i szukali rozbitych wagonów. Bywało, że w takim stosie złomu jakimś cudem zachowały się wagonowe hamulce, które przywozili do zakładu, były na wagę złota. W ciągu trzech miesięcy z „Pafawagu” wyjechało 10 pierwszych węglarek.

Powoli ruiny „Linke Hofmann” zamieniały się na powrót w zakład przemysłowy zbudowany polskimi rękami. W czterdziestym szóstym Wrocław opuścili prawie wszyscy Niemcy. Przez „Pafawag” przewalilo się 18 tysięcy pracowników. Przychodzili i odchodzili, niektórzy zostawali na stałe. Wtedy Pokrowski uznał, że czas mu rozjeżdżać się za mieszkaniem. Fabryka nie mogła dłużej być domem noclegowym dla wszystkich pracowników.

Wziął sobie mieszkanie w Małym Muchoborze.

— To był przystanek tramwajowy — wtrąciła jego żona.

— Tramwajowy to może nie, bo tu tramwaje nie chodzą — tłumaczy Pokrowski — ale rzeczywiście zatrzymywało się u mnie masę znajomych. Mieszkali parę tygodni, zanim nie znaleźli sobie miejsca, i zaraz przyjeżdżali następni.

Jednym z przyjezdnych był jego starszy syn, Włodzimierz. Nie widzieli się od 1942 roku, od sierpnia, chłopak przeżył w czasie ulicznej łapanki w Warszawie. Potem przysłał listy z Leverkusen, niedaleko Kolonii: pracował w fabryce farb Bayera. W czterdziestym czwartym korespondencja ustala.

Syn zjawił się bez uprzedzenia w „Pafawagu” w towarzystwie jakiejś młodej kobiety i odnalazł Pokrowskiego w fabrycznej hali. Na jego widok ojciec onieміał.

— Poznajcie się — powiedział wtedy Włodzimierz — moja żona.

Żonę poznał w obozie wyzwolonym przez Amerykanów. Przez całą wojnę harowała w przemyśle metalowym w Solingen, trafiła tam przymusowo. Słub wzięli w czterdziestym szóstym przed wyjazdem do Polski.

Pokrowski patrzył na nowożeńców, rozpięła go radość i duma.

— Zwolnie się z pracy i zaprowadzę was do domu. To się matka ucieszy — powiedział do syna. I ruszył, żeby odszukać kierownika.

— Zaczekaj! — krzyknął za nim Włodzimierz. — Zapytaj, czy mnie nie przyjmą tutaj do roboty.

— Złatwione — powiedział na to ojciec.

Potem wprowadził do „Pafawagu” także młodsze go syna. Ledwie chłopak skończył czternaście lat posłał go do zakładowej szkoły, żeby uczył się zawodu. Ale Zbigniew na tym nie poprzestął. Pracując już, chodził wieczorem do technikum. Jest teraz w „Pafawagu” technologiem, wykłada w szkole zawodowej. Włodzimierz pracuje jako ślusarz przy montażu wagonów.

Stary Pokrowski zamyśla się i nieoczekiwanie mówi:

— W pięćdziesiątym szóstym, chyba to było w pięćdziesiątym szóstym, zaproponowano mi powrót do Warszawy. Dawno mi od ręki mieszkanie i wyższą pensję. Odmówiłem. Za bardzo już wrosłem w ten Wrocław, za bardzo. Czasem wydaje mi się, że się tutaj urodziłem, a przecież tylko moi wnukowie urodzili się tutaj naprawdę.

KONRAD FREJDLIH

ŁKS-owa dyskusja

Pisząc do „Odgłosów” artykuł pt. „Cesarskie cienie — konieczne”, w którym omówiłem przyczyny regresu poziomu piłkarzy ŁKS, jego skutki oraz stosunki panujące w jednym z najstarszych klubów w Polsce — zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, że nie minie on bez echa. Przeszły natomiast najśmielsze oczekiwania reakcje jakie wywołała ta enuncjacja wśród kibiców sportowych, działaczy, a nawet moich kolegów po piórze.

Obok gratulacji jakie odebrałem za napisanie tego artykułu, cenię sobie i to wysoko uwagi tych wszystkich, którzy na łamach „Odgłosów” i w in-

nych pismach nie zgadzali się z pewnymi sformułowaniami czy wnioskami, poczynionymi na omówiony wstępnie temat. Chodzi jednak o to, żeby w polemice z autorem artykułu być konsekwentnym i w długiej nierzadziej epistole nie zapominać tego co się pisało na początku. Ale o tym za chwilę.

Najwyżej premiowali wszystkich dyskutanci odwagę. Stwierdzono, że do tej pory prawie nikt z dziennikarzy sportowych nie odważył się na napisanie podobnego artykułu, który wywołał na zło jakie wo kół piłkarzy ŁKS zaczęło się panoszyć od paru lat i w konsekwencji doprowadziło

do degradacji zespołu. „Gdzie oni wszyscy byli, jak zaczęła się psuć w ŁKS?” — pisał p. A. Borowski, mając na myśli dziennikarzy sportowych. Na pierwszy rzut oka atak słuszny. Należy jednak wskazać, że już parę miesięcy temu na łamach „Głosu Robotniczego” ukazały się artykuły krytyczne. Ale sytuacja krytyki podjętej przez publicystę nie jest łatwa, jeżeli jego publikacja słuszna i ostra może w konsekwencji spowodować załamanie drużyny w momentach dla niej najbardziej decydujących. I tu właśnie tkwił powód braku ostrej krytyki we wcześniejszych terminach. Każdy bał się po prostu napisać to o czym dziś wszyscy dokładnie wiedzą i o czym mówi się wśród kibiców. Gdyby bowiem po takiej krytyce drużyna

przegrała parę meczy i spadła do II ligi, nie łatwiej było jak zważyć wszystko na autora artykułu, zarzucając mu działanie destruktywne i śianie zamiętu, które w katastrofie poczytano by bez wątpienia za główny powód nieszczęścia. Ponieważ jednak na początku tegorocznego piłkarskiego sezonu wiosnę tego nie widać było jakiejś zdecydowanej groźby dla piłkarzy ŁKS, krytyka może jedynie pomóc — w żadnym wypadku zaszkodzić. W takiej bowiem nie innej intencji niżej podpisany rozpoczął dyskusję na temat frapujący tysiące ludzi w Łodzi.

Wiesław Kaczmarek w liście do redaktora naczelnego „Odgłosów” składa mu podwójne gratulacje za otwarcenie w tym piśmie miejsca dla spraw sportu i za trafny wybór

tematu inauguracyjnego, ale nie jest do końca konsekwentny. W końcowych zdaniach swego listu powątpiewa czy artykuł mój przysłużył się poprawie klimatu wokół ŁKS? W drażliwych i niebezpiecznych sytuacjach strus pność chowa głowę w płasiek, nie bacząc co się wokół niego dzieje. Czyżby W. Kaczmarek holdował tej praktyce? Klimat wokół ŁKS jest bowiem jak najlepszy i nie potrzeba go poprawiać. Chodził głowę o to, by wokół poczynił Zarząd ŁKS i sekcji piłkarskiej nie czynić tajemnic i nie otaczać całkowitym milczeniem sprawy, które dla dobra klubu i sportu łódzkiego należały dyskutować nawet publicznie. Można bowiem mieć pretensje właśnie do władz klubowych, że nie rozliczyły się przed spo-

łeczeństwem z okresu swej działalności właśnie w roku jubileuszowym, kiedy najczęściej powstało pretensji i zarzutów różnorodnej natury. Za włożone w ŁKS pieniądze przez działaczy małego fabrycznego klubu, nie ma co ich chwalić tak namiętnie, bo przecież z państwowej pochodzily one kasy, bądź z funduszu zakładowego ZPB im. Marchlewskiego odpisanego na cele socjalne.

Jeden z dziennikarzy na łamach „Przeglądu Sportowego” powołując się na artykuł „Cesarskie cienie — konieczne” żaliuje, że nie ma w nim skreślonego konstruktywnego planu działania, a powtarza się powszechnie znane prawdy o sytuacji w sekcji piłkarskiej ŁKS. Gdyby jednak autor tej uwagi przeczytał dokładnie cały artykuł zna-

koncepty tam zawarte. Wiele kontrowersji wywołała ocena przydatności obecnego trenera drużyny ŁKS. Jedni uważają, iż wyrządza mu się krzywdę twierdząc, że się na to stanowisko nie nadaje, inni są zgola odmiennego zdania. Wydaje się, że prawda jak zwykle leży pośrodku. Można mieć dobre chęci i o brak takowych nikt nie posiada L. Jezierskiego. Co jednak z tych chęci i starań wyniknie, wykaże naj bliższa przyszłość.

Wydawać by się mogło, że w tak obszernej i rzeczowej dyskusji powinien zabrać głos również Zarząd ŁKS. Nie można bowiem przechodzić obojętnie nad sprawami, które absorbują i emocjonują dziesiątki tysięcy ludzi.

ZBIGNIEW SKIBICKI

Dwadzieścia tysięcy recytatorów

Wielka parada recytatorów — zakończona. W tym roku impreza kończy się na szczeblu wojewódzkim — charakter przegladu centralnego mieć będzie tylko galowy koncert na Wawelu. Ale już bez nagród i wyróżnień.

Tak więc eliminacje wojewódzkie zamknęły ten doroczny — nietłusty już — festyn literacki. Najbardziej chyba masowy przegląd żywego słowa. Do występu na estradzie Łódzkiego Domu Kultury dotarło 112 osób spośród 20 tysięcy uczestników, którzy w bieżącym roku brali udział w Konkursie Recytatorskim. Dwadzieścia tysięcy to spora armia — w skali krajowej od lat już nasze województwo dystansuje pod tym względem inne regiony — i zasługuje zbiera nagrody i pochwały Ministerstwa Kultury.

Warto w tegorocznym konkursie zwrócić uwagę na pewne fakty, które, choć nie bardzo zgodne z regulaminem są z pewnością zjawiskiem pozytywnym. Otóż w wielu powiatach dopuszczono do eliminacji poza konkursem młodzież szkół podstawowych. Ma to na pewno ogromne znaczenie — rodzi zainteresowanie problematyką żywego słowa wśród najmłodszych, a poza tym w ten sposób przygotowują się kadry recytatorów do konkursów w latach następnych. Zastanawiam się więc, czy tej sprawy nie warto w roku przyszłym określić jako w regulaminie, żeby udział najmłodszych (choć by nawet poza konkursem) nie był tylko sprawą przydadku lub dobrej woli organizatorów eliminacji powiatowych. W swoim czasie zrezygnowano w konkursach recytatorskich z pionu aktorów zawodowych — może więc na to miejsce powołać jednak pion młodzieży szkół podstawowych? Zwalazca, że fachowcy i wieloletni obserwatorzy tej imprezy widzą w udziale najmłodszych same pozytyw. Wrazem tego była zresztą nagroda specjalna, jaką jury wojewódzkich eliminacji ufundowało dla występującego poza konkursem ucznia szkoły podstawowej.

A co z repertuarem? W tym roku dobierano teksty raczej pod kątem 25-lecia PRL, stąd też najczęściej z estrady padały słowa utworów Iwaszkiewicza, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Tuwima, Dąbrowskiej, Putramenta, Staffa, Różewicza... Wybił się zdecydowanie „Raport z Monachium” Andrzeja Brychta, dość często recytowano wiersze Ernesta Brylla, Wisławy Szymborskiej, Lucjana Szenwald, Krzysztofa Baczyńskiego, Zbigniewa Herberta, z łódzkich pisarzy spotykaliśmy wiersze Mariana Piechała i Jana Huszczy.

Tak więc ze względu na specjalny, rocznicowy charakter tegorocznego Konkursu Recytatorskiego uaktywniła się w repertuarze klasyczna polska i jest to w jakiś sposób zrozumiałe. Niestety — brakowało publiczności — a szkoda bo mamy przecież doświadczenia z poprzednich lat podania jej w artystycznym kształcie byłaby na pewno ambitnym, choć nie łatwym zadaniem.

Cóż jednak znaczy te uwagi wobec faktu, że w gigantycznej, masowej imprezie literackiej brało w samym tylko województwie łódzkim dwadzieścia tysięcy osób. Uczniów, robotników, techników, nauczycieli, studentów, gospodyń wiejskich... Masowość tej imprezy określa jej rangę i oświatowo-kulturalne walory.

J. W.



Fot. K. Janaszewski

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

KROŚNIEWICKI ZAJAZD

Szerokim traktem wiodącym do Kutna szybko toczył się dyliżans. Zapadał zmierzch. Dyliżans wtoczył się na bruk jakiejś miejsciny.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał młodzieniec.

— W Krośniewicach. Zatrzymamy się tu na noc — odpowiedział jego towarzysz.

Wkrótce obydwaj podróżni stanęli w zajezdni. Tęgo wieczoru młodzieniec wpiął do księgi gości zajazdu swe nazwisko: Fryderyk Chopin.

Działo się to w 1828 roku...

I oto znajdujemy się w tym samym historycznym zajezdni. Dziś choć skromny, jest nadal najokazalszym budynkiem czterotysięcznych Krośniewic.

Nie ma gościnnych pokoi, wozowni i stajen. Miejsca ich zajęły apteka, sklep na parterze oraz mieszczące się w trzech pokojach na pierwszym piętrze Muzeum Krośniewickie. Wszystko tu tchnie i wzrusza historią. Naszej rozmowie z jrozczym gospodarzem, właścicielem muzeum, farmaceutą, panem magistrzem Jerzym Dunin Borkowskim, towarzyszy cykanie staroświeckich zegarów, dźwięki wybijanych godzin i kwadransów. Ze ścian obserwują nas uważnie duże wyraziste oczy pięknych portretów Bacciarellego, Matejki, Kossaka. Z jednego z portretów uśmiecha się ostatni król Rzeczypospolitej Stanisław August Poniatowski.

Siedzimy w narożnym pokoju, pełnym antycznych mebli, obrazów, średnio-wiecznych inkrunabulów.

Gospodarz, ujmujący gawędziarz, szuka w swej pamięci wspomnień o zajezdni krośniewickiej.

— Dom ten posiada bardzo bogatą przeszłość. Napoleon 5 razy zmieniał w nim konie. Zatrzymał się tu też Chopin, jadąc do Dusznik. Przejedźdzał przez Krośniewice car Aleksander I i wielki książę Konstanty. Jechali na zjazd z cesarzem niemieckim w Kaliszu. Wielki książę Konstanty wysiadając z karety miał wpaść w błoto. Ślady tego wydarzenia pozostały w dawnych aktach Krośniewic. Mówią one, jak wielki książę Konstanty „zrugął” wtedy ojców miasteczka za nieporządki na drogach.

— Panie magistrze — pytam — dlaczego tak poczesne miejsce znajduje w pańskim zbiorze Bacciarelli nadworny malarz Stanisław Augusta?

— Przede wszystkim jest to sentyment rodzinny. Marcello Bacciarelli był pradiadłem mojej matki. Przyjechał do Polski z Rzymu, na zaproszenie króla Stanisława, wielkiego mecenas sztuki i tu już na stałe pozostał. Stworzył on pierwszą szkołę portretu polskiego. Uwiecznił na swych płótnach niemal wszystkie wybitne osobistości czasów stanisławowskich. Obecnie twórczość Bacciarelliego przeżywa renesans. W ubiegłym roku Muzeum Narodowe w Poznaniu zorganizowało wystawę jego obrazów, a w roku przyszłym odbędzie się w Warszawie pierwsza pełna w Polsce ekspozycja jego płócien. Znajdą się na tej wystawie nie tylko obrazy, znajdujące się w muzeach i w zbiorach prywatnych w Polsce, lecz także pochodzące ze zbiorów zagranicznych, między innymi ze Związku Radzieckiego.

Na szerokim antycznym stole rozkłada teraz mój rozmówca cenne księgi sprzed pięciuset i sześćset lat.

— Proszę zobaczyć! To jest jeden z najdawniejszych druków. Rok 1480.

— W jaki sposób ten inkunabul dostał się do pańskich zbiorów?

— Druk ten za 800 zł miała zakupić od mego znajomego Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie. Nawet, jak pan widzi, kwestor przyłożył na nim pieczęć. Rachunek został wystawiony. Ale w ostatniej chwili okazało się, że Biblioteka Uniwersytecka nie miała pieniędzy. Właściciel pragnął natychmiast książkę sprzedać. Przypadkowo spotkałem go na ulicy. Był bardzo zmartwiony, że nie może sprzedać inkunabulu. Przejrzałem go i zorientowałem się, że to rzecz bardzo cenna. Zaproponowałem mu wtedy za nią 500 zł, gdyż tylko taką sumą wówczas rozporządzałem. Mój znajomy początkowo się krzywił. W końcu ustąpił i sprzedał.

W krośniewickich zbiorach poczesne miejsca zajmują oryginalne książki z bibliotek królewskich.

— Ta książka, jak pan widzi, pięknie oprawiona, zawiera exlibris króla Stanisława Augusta. Pochodzi z jego biblioteki. Tak pięknie oprawionych książek miał król Staś około pięciu czy sześciu tysięcy.

Z czasów Stanisława Augusta zachował się również pisany ręcznie diariusz Sejmu Wielkiego z 1788 roku. Składa się on z czterech tomów. Są dokładnie w nim zanotowane wystąpienia każdego z mawiających posła. Najciekawsze z nich są te, w których posłowie zwracają się bezpośrednio do króla, atakując go nie raz w sposób bardzo niewybredny.

Teraz wyrasta przed nami stos różnych teczek. W nich — listy i dokumenty królów polskich, począwszy od Władysława Jagiełły a skończywszy na Stanisławie Augustie Poniatowskim.

Najbogatszy w moim zbiorze jest dział rękopisów-autografów. Zbierałem je od najmłodszych lat. Pieniądze, które dostawałem od ojca na różne drobne wydatki, oszczędzałem. Po pewnym czasie, kiedy zebrała się już poważna suma, bieglem do kilku sklepów antykwarialnych i kupowałem różne staroci. Oni znali mnie i często odstępowali mi cenne autografy ze znaczną bonifikatą. Byłem lubiany przez nich. Chwaliłi moją gorliwość w zbieraniu pamiątek przeszłości. Mój zbiór autografów dzieli się na kilka działów. Bardzo bogaty jest dział autografów królewskich. Rozpocznym go dokument królewski, wydany przez króla Władysława Jagiełłę w 1414 roku. Dotyczył praw miejskich, nadanych Łodzi. Mam również szereg autografów Zygmunta Staroego i Zygmunta Augusta. Jedynie dokumenty, wydane przez Jagiełłę, nie są podpisane. Na ogół wszyscy królowie z tak zwanego złotego wieku epoki jagiellońskiej, z wyjątkiem Jagiełły, podpisywali wydawane przez siebie dokumenty. Autografy te zachowały się w wyjątkowo dobrym stanie. Mam też kilka autografów króla Stefana Batorego. Sześć gólinie bogato reprezentowany jest w moich zbiorach król Stanisław August. Mam około 60 podpisanych przez niego dokumentów, przeważnie 1 i 50 listów prywatnych. Część tych listów pisał król Staś do mego prapradziada z Petersburga, w ostatnich chwilach swego życia. Nawet i w tym zbiorze znajduje się wesele królewskie, wystawione na 2.100 dukatów. Była to suma, jak na owe czasy, ogromna. Król pożyczył ją od swego przybocznego lekarza Regemanna.

Nie ma chyba wśród rękopisów zasłużonych w historii i kulturze Polski nazwisk, które by nie były reprezentowane jakimś autentycznym w zbiorach krośniewickich Jerzego Dunin Borkowskiego. Listy króla Jana Sobieskiego, Stefana Czarnieckiego. Autografy Tadeusza Kościuszki, Napoleona, ks. Józefa Poniatowskiego,

Korespondencje Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Bolesława Prusa, Stefana Żeromskiego, Stanisława Wyspiańskiego. Są i oryginalne zdjęcia autora „Pana Tadeusza” i „Nieboskiej komedii”.

Pierwsze zdjęcie Adama Mickiewicza, tak zwany dagerotyp, wykonany na kilka lat przed jego zgonem w Paryżu. A to ołówkowy portrecik Mickiewicza, wykonany przez szwagierkę poety, Zofię Szymanowską. A ten z natury zrobiony portret Mickiewicza na papierze tłoczonym, wykonał znany malarz Władysław Oleszczyński. Poza tym w bibliotece mam prawie wszystkie dzieła Mickiewicza z pierwszego wydania. Są w moich zbiorach dziś już bardzo rzadkie dzieła polemiczne, różne złośliwe dyskusje i uwagi o poecie i jego twórczości. Mam również i późniejsze wydanie dzieł Mickiewicza. Łącznie ze sto dwadzieścia kilka pozycji. Były one przede mną wypożyczane na różne wystawy okolicznościowe, między innymi organizowane w Muzeum Mickiewiczowskim w Warszawie. Jeśli chodzi o autografy Zygmunta Krasińskiego, posiadam dwa jego listy 8-stronicowe. Są one niezwykle ciekawe. Na przykład w jednym z tych listów, pisanych do zarządcy swoich dóbr, poeta robi zestawienie ostatnich dwuletnich wydatków. Wyniosły one niebagatelną sumę: 377 tysięcy rubli. Jak na ówczesne czasy była to wprost zawrotna suma. Tym listem interesował się prof. Pigoń. W drugim liście, pisany do ojca gen. Wincentego Krasińskiego, poeta pisze, że przysłała mu 40 butelek Vichy. Ciekawostką tych zbiorów jest pierwsza praca naukowa, napisana przez Marię Curie-Skłodowską. Pierwszy wydrukowany egzemplarz swojej pracy, napisanej w języku francuskim, Maria Curie ofiarowała swemu wujowi prof. Dłuskiemu. Ale, jak widać z tego egzemplarza, prof. Dłuski nie miał zbyt wielkiej wiary w zdolności swojej siostrzenicy. Przez wiele dziesiątek lat egzemplarz ten pozostał niezręczny.

Pan Dunin Borkowski chyba jedyny w kraju posiada liczne pamiątki po gen. Władysławie Sikorskim. Oto biurko, przy którym pracował, rzeźba, przedstawiająca generała jako premiera, listy, ostatnie jego zdjęcie z córką, wykonane na krótko przed tragiczną nocą gibraltarską.

— Znałem generała Sikorskiego od 1920 roku. Państwo Sikorscy mieli jedyną córkę, która przyjaźniła się bardzo z moją siostrą. Generał Sikorski byłwał często gościem mego ojca w Krośniewicach. Przyjeżdżał najczęściej w towarzystwie żony i córek. Zresztą przez Krośniewice prowadziła droga do jego majątku Parchanie pod Inowrocławiem, który otrzymał w uznaniu zasług od państwa. Okres, w którym generał Sikorski odwiedzał moich rodziców w Krośniewicach, był najbardziej tragicznym dla niego. Jak wiadomo w zamachu majowym gen. Sikorski nie opowiedział się ani po stronie Piłsudskiego, ani jego przeciwników. Stąd też na długie lata popadł w niełaskę Piłsudskiego. Przestał być premierem i zdymisjonowano go ze stanowiska dowódcy okręgu wojskowego we Lwowie. Najbardziej w mej pamięci utkwił dzień 3 września 1939 roku. Gen. Sikorski wraz z rodziną przebywał wtedy od kilku dni u moich wujostwa w Osmolicach pod Dęblinem. W trakcie obiadu włączyliśmy radio. Słuchaliśmy z zapartym tchem ostatniego komunikatu wojennego. Pamiętam, była w nim mowa o tym, że wojska nasze biją na wszystkich frontach wroga, że nasza kawaleria zapędziła się za nim aż pod Królewiec, że wróg cofa się. Gen. Sikorski wyłączył wtedy głośnik i powiedział podniecony: — To wszystko kłamstwo! Wierutna błąka! Nie wróg, ale my cofamy się na całym froncie. Za kilka dni Niemcy będą tu. Po tym nagłym wybuchu generała, zapanowała grobowa cisza. Nastroj, jaki wytworzył się, był bardzo przynębiający. Nikt z obecnych nie śmiał odezwać się. Tylko ja jeden, nieśmiało, oponowałem generałowi. Twierdziłem, że radio mówi chyba prawdę. Za trzy dni później przekonałem się, że gen. Sikorski miał rację.

Na pożegnanie pan mgr Borkowski prezentuje jeszcze bogaty zbiór swoich monet. M.in. pokazuje nam niezmiernie ciekawy i rzadki nabytek z 1400 r.

— To jest sztanca, pochodząca z mennicy króla Władysława Jagiełły. Mam, niestety, tylko jedną część tej sztancy. To jest unikat. A oto moje monety. Mam ich ponad 4 tysiące, z różnych epok i okresów, polskie i obce. Nie są one jednak skatalogowane.

— Na pewno z braku czasu?

— Nie. Czas na to by się znalazł. Brak po prostu pomieszczenia...

Tak! W sypialni i jadalni, a nawet w kuchni i w aptece, każda wolna przestrzeń wypełniona jest antykami. Prezydium miejscowej Rady Narodowej już od kilku lat obiecuje oddać na potrzeby muzeum kilka pokoi na pierwszym piętrze. Ale jak dotychczas — nie z tego Rozmawiałem na ten temat z i sekretarzem Komitetu Miejskiego Partii, Kazimierzem Kotlińskim, i z przewodniczącym Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, Stanisławem Wróblewskim. Przyszli solennie, iż w przyszłym roku sprawa tych pokoi ostatecznie zostanie załatwiona. Oby tak się stało!

DESZCZ

Byłem tu dawno. Trzech kolejarzy popija ciepkie piwo.

— Panowie tu dawno mieszkają?

— My miejscowi.

— A w czasie wojny panowie też tu byli?

— Czemu nie.

— Byłem tu na okopach. Kopaliśmy w czterdziestym czwartym. Wzdłuż Drwęcy.

Patrz na mnie w milczeniu.

— Koło kościółka mieszkała taka pani. Nie pamiętam już jej nazwiska. Taka czarna, drobna. Panowie nie pamiętają? Pobożna.

— Tu wszystkie baby pobożne.

— Wchodziło się do niej z korytarza na lewo. Od ulicy. Taki czerwony dom.

Kiwnęli głowami.

— Prasówna — stwierdzili.

Poszedłem tam. Zapukałem.

— Pani Prasówna?

— Tak.

— Nie poznaje mnie pani?

Przyjrzała mi się spode rta i potrząsnęła głową.

— Nie.

— Zaraz pani przypomnę.

Chciwie rozglądałem się po pokoju... Zaraz... Jak ja tu siedziałem? Od strony okna? Bo Kostek, pamiętam, zawsze w szczycie stołu, ona — naprzeciwko mnie. A może odwrotnie? Ona od strony okna?... Na oknie stały pelargonie w doniczkach... I padał deszcz. Jak dziś.

Poczęstowałem ją papierosem. Odmówiła. Jakże mogłem zapomnieć, że ona nie pali? Tyle rzeczy uleciało z pamięci. Tyle rzeczy się przypomniało. Cały dom przesunął się nieco bliżej kościółka. Stół uleciał z pamięci. Tamten był chyba dłuższy.

— Przychodziłem tu w czasie wojny. Z Kostkiem.

Coś sobie przypomniała, ale chyba niewiele, bo nadal ogląda mnie ze wszystkich stron.

— Okopy kopaliśmy. Przychodziliśmy tutaj, kiedy padał deszcz. Mówiliśmy o takich różnych rzeczach. O książkach. Pamięta pani?

Chwile milczała.

— Tak. Było tu dwóch takich.

— No widzi pani!

— Mieszkali na górze.

— Myśmy tu nie mieszkali. Przychodziliśmy tylko. Przeważnie wieczorem i w niedzielę. Graliśmy na skrzypcach. Pamięta pani? Czestowała nas pani zawsze kolacją. Dawała mi pani kiedyś medalik...

Mówiłem szybko, żeby pobudzić jej pamięć. Żeby obrazy nakładały się na siebie, wzajemnie się ożywiały, zmuszały do przypomnienia.

— W wojnę mieszkaliśmy tu z bratem. Coś mi się nagle nie zgadza.

— A książki? Gdzie książki? Pożyczają mi pani wtedy...

— Ja nie mam książek.

— Ale pani miała!

— Była jakaś, ale pewnie nie ta.

— Niech pani pokaże. To bardzo dla mnie ważne. Widzi pani, ja tu kiedyś byłem. Miałem wtedy siedemnaście lat. I chciałem tu jeszcze powrócić.

— To pan w sprawie pokoju? Ten na górze jest pusty, mogłabym go panu wynająć.

— Nie, nie chodzi o pokój. Szukam pani. To jest Smutnej pani, tak ją nazywaliśmy. Niech pani spróbuje sobie przypomnieć...

— Coś mi się widzi, że się pan pomylił.

Rzeczywiście. Chyba się pomyliłem. Nawet głos już się nie zgadza. Że też nie zauważyłem tego wcześniej. Ale głos mógł się zmienić. Tyle rzeczy już się zmieniło. Ja sam...

A jednak to nie ona.

* * *

Kolejarze siedzieli jeszcze w gospodzie.

— I co?

— To nie ona.

Oparłem się o okno i patrzę jak pada deszcz. Na dworze ciemno od chmur. Pu-

sta ulicą maszeruje grupa cieni z łopatkami na ramionach. Błotnista glina przyklepia się do podeszew. Wilgoć wżera się w ciało.

— W takim razie to musi być Supińska. Stara panna — orzekli kolejarze.

Uczepiłem się ostatniego szeregu. Ktoś wetknął mi łopatkę do garści. Cóż mi to szkodzi przejść z nimi kawałek. Zawsze przecież mogę tutaj wrócić. Wystarczy tylko otworzyć szeroko oczy i przeciwstawić się melodii deszczu spływającego po szybach.

— Tak, to może być ona — ucieszyłem się. — Od ulicy szło się dwa kroki między opłotkami ogródków. Furtki nie było. A w sionce stały zawsze dwa wiadra z wodą.

Ile szczegółów utkwiło mi w pamięci. To mi pomoże w poszukiwaniach.

— Mieszka na pięterku — informują kolejarze.

Byłem pewien, że na dole. Ale to było już tak przecież dawno. A pamięć ludzka jest zawodna.

— Wchodzi się od podwórka. Dom jest biały.

— Otynkowali?

— A kto by tu tynkował.

Jak wiele rzeczy zmieniło się w tym krajobrazie. Nawet most. Po wojnie przebito przez pole nową szosę. Tam, gdzie stały kiedyś nasze baraki. Pośrodku piecyk i szron na plecach od zimna. Dobrze, że Kostek zdobył gdzieś tę pierzynę.

— Idzie pan?

Gospoda też w innym domu... Muszę odnaleźć tego siedemnastoletniego chłopaka o moim nazwisku. Muszę go dotknąć, przypatrzeć się mu, jego roześmianej twarzy z czupryną zmoczoną przez deszcz. To ważne odnaleźć siebie z okresu, gdy nie było się jeszcze sobą. Tamten też jest prawdziwy. Nie mając nic miałem wtedy bardzo wiele.

— Pokażę panu. O tu. Trzeci dom na lewo. Jej pokój jest na piętrze. Wchodził się od podwórza.

Tak, to na pewno Supińska. Powiedzieli, że nikt inny tam nie mieszkał. A znają każdy kamień.

Zobaczyłem ją na podwórzu, gdy zbierała w fartuch porąbane przed chwilą drewna.

— Pani Supińska?

Dziwi mnie jej fartuch z drzewem i pochylona nad nim twarz. Powinna mieć przecież w ręku książki. A na twarzy melancholijny wyraz zamyślenia. A tymczasem wszystko zwyczajne, wiejskie.

— Pani Supińska? — powtórzyłem.

— Tak.

— Nie poznaje mnie pani?

Patrzyła chwilę badawczo, a potem jej oczy stały się znów łagodne.

— Wyglądałem wtedy oczywiście inaczej. Dwadzieścia dwa lata temu. Miałem długie włosy...

Pamiętam nawet dokładnie szramę na twarzy. Skaleczył mnie Kostek przy goleniu. I kapąłem się w niebieskich spodniach. Skakaliśmy do Drwęcy ze sterzającego nad wodą korzenia, bo brzeg był grząski. Przedziałek na głowie z prawej strony. I pasek zapinałem na ostatnią dziurkę, tak byłem chudy. Scyzoryk! Zrobiło mi się go żal. Dwa ostrza i szpilec pewnie do czyszczenia paznokci. Mniejsze ostrze było bardziej ostre. Nie używałem go nigdy. Gdzie mój scyzoryk? Gdzie pasek zapinany na ostatnią dziurkę? Gdzie niebieskie spodnie mokre od rzecznej wody? Gdzie Smutna Pani? Nie jej przecież szukam. Siebie.

— Przypomnę pani. Przychodziłem tutaj z moim kolegą. Graliśmy wieczorami na skrzypcach. To było w czasie wojny. Okopy tu kopaliśmy.

— Może. Ja już nie pamiętam.

Ten sam głos. To dziwne, że nie kochałem się w niej wtedy. Była drobna, filigranowa, włosy czarne wokół twarzy. Miała w sobie coś romantycznego.

Teraz stoi przede mną stara kobieta. W zniszczonym fartuchu, z twarzą szeroką, z przytęplonym spojrzeniem.

* * *

— Odnalazł pan? — zapytali kolejarze.

— To nie ona.

— Innej tu nie ma.

— Nie wiem.

— Chodźmy do Olszewskiego. Był właścicielem tego domu. Będzie wiedział, kto u niego mieszkał. Musimy ją odnaleźć. Skoro przyjechał pan z tak daleka... Na pewno ją odnajdziemy.

— Po co?

Ale to powiedziałem tylko do siebie. Nie potrafiłbym im przecież wytłumaczyć dlaczego nie będę szukał. Scyzoryk zardzewiał już pewnie tak bardzo, że do niczego się nie przyda.



WŁODZIMIERZ MENTCEL — „A gdyby tak...”

ANDRZEJ GRUN

Na portret damy pędzla nieznanego mistrza

Ta dłoń
co trzyma chustkę haftowaną
jest z mgły poranka —
drży lekko w półcieniu
wtórując haftom misternym i złotym
a oczy są z doliny w której
czas odmierzany jest skokiem jelenia
a uśmiech malarz wziął
chyba z brzoskwini
brzemiennego słońcem — tak jest nierealny
a pleć tej damy snem tylko być może
lub raczej snu wspomnieniem
wspomnieniem wspomnienia
a patrzeć na nią
boisz się oddychać
aby nie rozbić czary
szklanego pejzażu

EWA DENYS

Dąbrowa

Jest takie osiedle w Łodzi.
Piękne. Największe.
Najmilsze i najbliższe. Moje.
Kolorowe. Mrugające błyszczącymi oczami okien.
Gwarne.

Rozkrzyczane tysiącem

dziecięcych głosów.

Dzieci tu wypadają ze szkół i rozbiegają się.
Jak mrówki w wielkim poruszonym mrowisku.
Stoi tam blok przy bloku.
I rozciągają się trawniki jak zielone dywany.
I coraz to nowe budowle
Ogromniejsze z dnia na dzień.
I strzelają w niebo wysokie ramiona dźwigów.
Warkot czerwonych autobusów
Nie daje spać
Kiedy w nocy spadające gwiazdy
kaplą na dachy domów.
Tak niedawno tutaj
Ślepe oczy okien rozwalonej cegielni
Straszyły nas w czasie dziecięcych zabaw
Tak niedawno tutaj
Nasze papierowe łódki
Pływały po opuszczonych gliniankach.
Pamiętasz?
Kiedy to było — może wczoraj?

Początek dał Grunwald

O współpracy kulturalnej między Rumunią i Polską rozmawiamy z attaché kulturalnym Ambasady Socjalistycznej Republiki Rumunii w Polsce — DUMITRU PETRESCU.

ODGŁOSY: — Jak głębokie są tradycje kulturalnych związków między Polską i Rumunią? Przypomnijmy może trochę faktów.

D. PETRESCU: — Stosunki polsko-rumuńskie mają swoją historię zapisaną w znanych dokumentach już od przeszło sześciu wieków. Na przestrzeni dziejów nasze narody udzielały sobie wzajemnie pomocy w walce o zachowanie bytu narodowego. Tak na przykład w bitwie pod Grunwaldem uczestniczył również oddział wojsk moldawskich, wysłany przez Aleksandra Dobrego — ówczesnego władcę Moldawii. W swoich kronikach Długosz z dużym podziwem mówi o waleczności żołnierzy rumuńskich biorących udział w tej bitwie.

Stosunki ekonomiczne i polityczne sprzyjały zawsze rozwojowi kontaktów kulturalnych. Pierwsze zapiski o ich istnieniu pochodzą z 1401 roku, kiedy Piotr Wysz ufundował stypendium dla młodzieży rumuńskiej studiującej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dziesiątki młodych Rumunów z Moldawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu odbywały studia w Krakowie i innych ośrodkach kulturalnych Polski, co miało duży wpływ na rozwój rumuńskiego dziejopisarstwa. Joan Honterus, znana osobistość humanizmu rumuńskiego, rozwinął szeroką działalność w Krakowie nawiązując liczne stosunki z humanistami polskimi. W 1830 roku opublikował w Krakowie pierwsze wydanie opisu świata, który do siedemnastego wieku był najszerzej stosowanym podręcznikiem geografii i astronomii nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach Europy.

Kronikarze moldawscy z siedemnastego wieku uzupełniają zapiski kro-

nik wewnętrznych danymi zaczerpniętymi z kronik polskich. Grigore Ureche znał „Kronikę Polską” M. Bielskiego, Miron Costin natomiast kronikę Piaseckiego, poematy historyczne J. Otwinowskiego, S. Twardowskiego. Znajomość języka polskiego pomogła metropolicie Desoffei w odkryciu za pośrednictwem Jana Kochanowskiego wartości literackich Psalmów Dawida.

ODGŁOSY: — Można przypuszczać, że wiek dziewiętnasty przyniósł dalszy rozwój tych kontaktów.

D. PETRESCU: — Tak. W połowie dziewiętnastego wieku w stosunkach kulturalnych rumuńsko-polskich nastąpiło szczególne ożywienie, dzięki ruchom społecznym i narodowym w Europie. Emigracja polska i rumuńska współpracując ze sobą w Paryżu. Młodzi rewolucjonści rumuńscy Nicolae Bălcescu, brać Golești i C. A. Rosetti są rozentuzjazzowani wykładami A. Mickiewicza w „College de France” i energią polskiego poety przy redagowaniu „La Tribune du Peuple”, z którą współpracowali również rumuńscy rewolucjoniści.

Przed drugą wojną światową szeroko rozpowszechniane są w Rumunii dzieła Henryka Sienkiewicza i Adama Mickiewicza, a w Polsce szczególnie zainteresowaniem cieszy się twórczość Panafta Istrati i Liviu Rebreanu. Dzięki przekładom Emila Zegadłowicza, poczynając od 1932 roku, polscy czytelnicy mają możliwość zapoznawania się z wierszami wielkiego rumuńskiego poety Mihaila Eminescu. Wielu studentów i młodych naukowców polskich uczestniczyło w kursach letnich organizowanych w w Valenii de Munte przez Nicolae Iorga, wielkiego dziejopisarza i patriotę rumuńskiego, który zresztą już od 1923 roku był członkiem Akademii Nauk w Krakowie. W tym samym okresie Rumuńska Akademia Nauk przyjęła w poczet swoich członków znanego matematyka polskiego W. Sierpińskiego.

ODGŁOSY: — Jakże są rezultaty tych kontaktów? Co z dorobku kultury polskiej zostało utrwalone w świadomości rumuńskiego społeczeństwa i odwrotnie?

D. PETRESCU: — Adam Mickiewicz był pierwszym pisarzem polskim tłumaczonym na język rumuński, najpierw w 1843 roku w czasopiśmie wydawanym przez Gheorge Barit w Brasov pt. „Foale pentru minte, inima si literatura” („Czasopismo dla umysłu, serca i literatury”), a następnie w 1845 roku, kiedy przetłumaczono w całości jego dzieło „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego”. Począwszy od tego okresu rumuńscy pisarze będą się odwoływali coraz częściej do twórczości Mickiewicza dla zaimplementowania sym-

patii i solidarności z walką polskiego narodu o wolność. Około 1848 roku została przetłumaczona ballada „Alpuhara”, a w 1863 poeta Grigore Gran dea sięga do sceny odbywającej się w więzieniu z trzeciej części „Dziadów” dla wykazania bohaterstwa młodej polskiej. W 1890 roku wybitny poeta rumuński George Cosbuc tworzy w języku rumuńskim świetną wersję „Trzech Budrysów”.

Zainteresowanie polską literaturą w Rumunii odnosiło się również do dzieł innych pisarzy, między innymi Ignacego Krasickiego i Bohdana Zaleskiego. Z tego samego okresu pochodzą również pierwsze przekłady z literatury rumuńskiej na język polski. Przetłumaczono pamiętniki Ion Eliade Radulescu, jednego z przywódców ruchów 1848 roku oraz wiersze Vasile Alecsandri, który cieszył się szczególnym zainteresowaniem prasy polskiej. Pisali o nim Józef Ignacy Kraszewski, Seweryna Duchńska — Pruszkowa, Antoni Lange i inni.

ODGŁOSY: — A inne wzajemne powiązania?

D. PETRESCU: — Po powstaniu styczniowym 1863 roku w Rumunii znalazło schronienie wielu Polaków. Znany antropolog polski Izidor Kopernicki został mianowany przez Aleksandra Iona Cuza — władcę Rumunii — profesorem na Wydziale Medycyny w Bukareszcie, gdzie zorganizował muzeum anatomii. W okresie od 1851 do 1864 roku Teodor Tomasz Jeż działał w Rumunii, o której napisał do polskich czasopism dziesiątki artykułów. Jego powieści „Asan” i „Za króla Olbrachta” inspirowane są rumuńskimi kronikami opublikowanymi przez Mihaila Kogălniceanu.

Dwóch rumuńskich pisarzy weszło do polskiej literatury, a mianowicie: Miron Costin ze swoją „Kroniką ziem moldawskich i muntanich” i „Opisaniem ziemi moldawskiej i muntanich”, którego rękopis znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie oraz Tadeu Hasdeu — poeta piszący w języku polskim, tłumacz dzieł Ronsarda, Kotzebue i innych na język polski.

ODGŁOSY: — Czy były inne przypadki wzajemnej inspiracji obu kultur?

D. PETRESCU: — Niewątpliwie. Studia odbyte przez młodzież rumuńską w Polsce nie pozostały bez następstw. Nie ulega wątpliwości, że rewolucyjna młodzież rumuńska z 1848 roku przebywająca w Paryżu była pod wpływem Adama Mickiewicza, co można łatwo dostrzec w „Opiewaniu Rumunii”, najwspanialszym rumuńskim hymnie poświęconym miłości ojczyzny.

Obok wspomnianych dwóch pisarzy rumuńskich Mirona Costina i Tadeu Hasdeu należy również wymienić poetę Vasile Alecsandri, który w poematach wierszach bronił sprawy narodu polskiego, żywiąc dlań głęboki podziw i szacunek. Najbardziej ciekawą interferencją kulturalną znajdujemy w dziedzinie kultury materialnej z poważnymi śladami w słownictwie i folklorze obu narodów.

ODGŁOSY: — Nasze narody wyrażały w różnych kręgach kulturowych,

stać też istnieją niewątpliwie różni-

ce. Jak by Pan je scharakteryzował?

D. PETRESCU: — Uważam, że istotne jest przede wszystkim to, co wiąże nasze kultury. Zarówno kultura rumuńska jak i kultura polska są ściśle związane z dążeniami naszych narodów, z ich wspólną walką o zachowanie swojego bytu narodowego o wolność i niezawisłość.

Dzisiaj do wiekowych tradycji dochodzi wspólnota ideologiczna i wspólne cele obu narodów, które pod przewodnictwem swoich partii komunistycznych budują własną przyszłość.

ODGŁOSY: — Na skutek zmian ustrojowych powstały warunki do pełniejszego zbliżenia obu narodów i obu kultur. Jak w tej chwili wygląda wymiana kulturalna między Rumunią i Polską?

D. PETRESCU: — Po zakończeniu wojny zarówno w Polsce, jak i w Rumunii stworzone podstawy nowego typu stosunków między naszymi narodami. Zostały one potwierdzone Traktatem o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy, podpisanym przez Rumunię i Polskę 26 stycznia 1949 roku.

Jeszcze przed podpisaniem traktatu zawarto szereg porozumień o współpracy w różnych dziedzinach. Do nich zalicza się również umowa dotycząca współpracy kulturalnej i naukowej, podpisana 27 lutego 1948 roku i odnowiona 26 stycznia 1964 roku.

Na tej podstawie nastąpił szeroki rozwój stosunków kulturalnych. Wzajemna wymiana przyczynia się do większego zbliżenia naszych narodów, do wzajemnego poznania wybitnych osiągnięć. Co roku nasze kraje wzajemnie odwiedzają ludzie kultury, naukowcy, artyści, muzycy, wymieniając zespoły artystyczne, dokonując się przekładów literatury rumuńskiej i polskiej, organizując się pokazy filmowe.

ODGŁOSY: — Co z polskiej kultury jest najbardziej znane w Rumunii?

D. PETRESCU: — Szeroko znana jest u nas literatura polska, zarówno klasyczna jak i współczesna. Ostatnio np. ukazało się 15 rumuńskich wydań „Quo vadis” w nakładzie 80 tys. egzemplarzy oraz „Potopu” w nakładzie 60 tys. Wielkim sukcesem cieszyły się wśród rumuńskich czytelników „Popioły” Żeromskiego, „Lalka” i „Faraon” Prusa, „Chłopi” Reymonta, „Noce i Dnie” Marii Dąbrowskiej. Cenione są książki Jarosława Iwaszkiewicza i Jerzego Putramenta.

Również dramaturgia polska jest znana i ceniona przez rumuńską publiczność. Wielkim sukcesem cieszyły się sztuki — „Pierwszy dzień wolności” L. Kruczkowskiego, „Moralność pani Dulskiej” G. Zapolskiej i „Kowal, pniak i gwiazdy” J. Szaniawskiego. Natomiast dramaturgia rumuńska zarówno klasyczna jak i współczesna jest mniej znana w Polsce. Jednym z posunięć zmierzających do zmiany tego stanu jest wymiana teatrów. W ubiegłym roku Teatr Powszechny z Warszawy dał przedstawić w Rumunii, a Teatr Komedi z Bukaresztu — w Polsce. Pokazało to naszym widzom wysoką wartość sztuki interpretacyjnej w obu krajach.

Kinematografia polska cieszy się szczególnym powodzeniem u publiczności rumuńskiej. Takie filmy jak — „Faraon”, „Popioły”, „Krzyszcy”, „Popiół i diament” jak również niektóre inne o tematyce wspólczesnej pozostały w pamięci widzów rumuńskich.

ODGŁOSY: — A jaka jest znajomość literatury rumuńskiej w Polsce?

D. PETRESCU: — Spośród przedstawicieli literatury rumuńskiej znani są w Polsce wielcy poeci rumuńscy Mihail Eminescu i Tudor Arghezi, jak również powieściopisarze: Liviu Rebreanu, Mihail Sadoveanu, George Calinescu, Marin Preda, Eugen Barbu.

W ostatnich latach mnożą się również przekłady literatury naukowej w obu językach.

Zainteresowaniem publiczności polskiej cieszyły się również rumuńskie filmy: „Las wisielców”, „Codin”, „Fale Dunaju”, „W niedzielę o godz. 6”, czy „Dakowie”.

W „Warszawskiej Jesieni” czy Konkursie Chopinowskim każdorazowo uczestniczą muzycy rumuńscy. Polscy muzycy biorą udział w Międzynarodowym Konkursie „George Enescu”.

Pragnąłbym również przypomnieć o tradycyjnie już odbywających się co roku „Dniach kultury polskiej” w Bukareszcie i „Dniach kultury rumuńskiej” w Warszawie.

ODGŁOSY: — I w Rumunii i w Polsce rozpoczęły się uroczystości związane z 25-leciem władzy ludowej w obu krajach. Jak to wpłynie na wymianę kulturalną?

D. PETRESCU: — Bogaty jest program wymiany kulturalnej przypadający na ten rok. W jego ramach m.in. Teatr Pantomimy z Wrocławia oraz Filharmonia Narodowa z Warszawy odwiedzą Rumunię a Teatr Satyry i Muzyki im. C. I. Tanase z Bukaresztu przyjedzie do Polski.

ODGŁOSY: — Jakże widzi Pan możliwości dalszego rozwoju współpracy kulturalnej między obu krajami?

D. PETRESCU: — W ostatnich 25 latach nasze kraje osiągnęły wybitne sukcesy w rozwoju życia materialnego jak i duchowego. Pozwoliło to rozszerzyć wymianę kulturalną, wzbogacić ją i zintensyfikować. Szczególnym wkładem do realizacji polityki przewartościowania kultury polskiej w Rumunii było założenie w 1947 roku katedry języka i literatury polskiej na Uniwersytecie w Bukareszcie. Wykształciła ona już przeszło 100 absolwentów.

Wkrótce powstanie w Polsce katedra języka i literatury rumuńskiej. Do rozwoju dalszych stosunków kulturalnych może przyczynić się również zorganizowanie ośrodków kultury w obu krajach.

Rozwój i wzbogacenie stosunków kulturalnych i naukowych między naszymi narodami przyczyni się niewątpliwie do umocnienia sojuszu, przyjaźni i współpracy, na rzecz których codziennie działają nasze partie.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

JAN KOPROWSKI

Wspomnienie o Waldemarze Babiniczu

22 kwietnia br. zmarł w szpitalu lubelskim Waldemar Babinicz. Zaledwie przed kilkoma miesiącami porzucił swoją kielecką Rożnicę i osiedlił się w Nałęczowie, gdzie dopadła go nagle choroba serca, której organizm uległ mimo natychmiastowej pomocy lekarzy. Zmarł mając 67 lat, ale nie wyglądał na tyle. Był młodszy fizycznie i duchowo. Waldemara Babinicza znałem od dawna i wciąż podziwiałem jego żywotność, poczucie humoru i optymizm. Zapewne nie bez

wplywu na to jego usposobienie i samopoczucie był stały kontakt z ruchem młodzieżowym. Nazajutrz po wojnie, najpierw w Pałkowicach a później w Rożnicy, Babinicz założył i kierował przez długie lata Uniwersytetem Ludowym, organizował kursy dla kierowników świetlic wiejskich, patronował kieleckiej grupie młodych pisarzy „Poniedziałek”, słowem: zaangażował się aktywnie w pracę wychowawczą z młodzieżą. Widziałem rezultaty tych jego wysiłków. Należałem

do ludzi, którzy często odwiedzali państwa Babiniczów w Rożnicy, spotykałem się z wychowankami i podopiecznymi Waldemara. I chciałbym tutaj stwierdzić rzecz następującą: Babiniczowie, rozmawiani w kulturze polskiej, zaszczytali tę miłość pokoleniom młodzieży wiejskiej, uczyli ich rozumienia słowa poetyckiego, pieśni ludowych, wdrali do zainteresowań teatralnych, organizując wybieczki na przedstawienia do Kielc, a niekiedy i do Warszawy. W kontaktach i wymianie z zagranicznymi uniwersytetami ludowymi, głównie w krajach skandynawskich, Waldemar Babinicz spełniał rolę rzecznika kultury polskiej, informując o naszych sprawach i propagując je tam, gdzie literatura i sztuka polska nie są jeszcze dostatecznie znane i rozumiane.

Swoją pasję społeczną u miał Babinicz pogodzić z twórczością literacką. Był przecież pisarzem i to pisarzem całą sobą. I chyba jedno warunkowało drugie: z pracy społecznej wynikało doświadczenie, które owocowało później w jego pi-

sarstwie. Babinicz był pisarzem-realistą, pisał o życiu wsi i małych miasteczek czyli o tym, co sam znał najlepiej. Nie należał do twórców-eksperymentatorów, obce mu były jalone igraszki formalne, z którymi nie lub niewiele wynika. Uważał (nie bez racji), że dużo jest jeszcze do odkrycia i że pisać należy o tym, co dzieje się z ludźmi i wśród ludzi, że świat w jakim przyszło nam żyć, obfituje w sprawy i wydarzenia fascynujące, którym literatura nie sprostała w sposób najwłaściwszy.

Waldemar Babinicz swoją pracą i postawą obalił pewien mit, pokutujący w wielu umysłach. Mit ten wyraża się w przekonaniu, że tworzyć coś można jedynie w wielkich centrach kulturalnych, gdzie istnieje dostęp do instytucjonalnych i nieinstytucjonalnych środków pracy twórczej. Do Rożnicy, położonej ośmiu kilometrów od stacji kolejowej Sędziszów, dojazd nie jest łatwy. Leży ona na uboczu tak zwanych wielkich i głównych szlaków. A jednak weale to nie przeszkodziło Walde-

marowi Babiniczowi w dokonaniu nie tylko ważnej pracy społecznej, lecz i w rozwinięciu twórczości własnej. Wśród jego piętnastu książek prozą (powieści i zbiory opowiadań) są rzeczy lepsze i gorsze, jak w twórczości każdego autora, ale nawet słabsze jego książki mają własny autentyczny ton, odtwarzają rzeczy bystro podpatrzone, napisane z pasją i zaangażowaniem. „Listy z parafii”, „Dziaseł”, „Obecny”, „Ludzie to powiedzieli”, czy uroczyste, pełne humoru tom krótkich opowiadań „Zaczarowane laski” to, według mego zdania, najlepsze książki Babinicza, do których nierzad jeszcze będziemy wracać. Mówią one o tym, co ludzkie, a to co ludzkie, nigdy się nie starzeje i nie podlega procesowi przedawnienia.

Z tego, co powiedziałem wyżej, nie ma bynajmniej wynikać, że twórcy winni opuszczać wielkie miasta i wyprowadzać się na wieś. Niechaj każdy mieszka tam, gdzie zechce. Wynika natomiast z tego, że podział na świat wielki i świat zabity deskami nie ma dzisiaj

sensu. Cywilizacja i technika skracają odległości i zasypują dawne przegrady. Człowiek w Rożnicy dowiadywać się z gazety, radia i telewizji tego samego i w tej samej chwili, co mieszkaniec stolicy. Siega po książkę, która leży na półce bibliotecznego, rozmawia telefonicznie z przyjaciелеm we Wrocławiu, pruje autem do Kielc, które niedługo „leżały za górami, za lasami”, a dziś — tuż za miedzą. Wiem, że Waldemar Babinicz pracował do ostatniej chwili nad nową powieścią. Wiem, że przywiązywał do niej wagę i cieszył się, że praca szła mu nieźle. Nie dokończył tej swojej powieści. I nigdy już do niej nie powrócił.

Z Waldemarem Babiniczem odszedł z naszego literackiego środowiska ktoś bardzo cenny, ktoś, kto dowiódł swoim życiem i swoją twórczością, że rzeczy ważne dzieją się wszędzie, nie tylko na wielkich szlakach historii. Bardzo nam będzie brakowało Waldemara Babinicza, cenionego pisarza i działacza, dobrego człowieka, oddanego przyjaciela.

ŁÓDKA z książkami

CICHY FRONT

Front, na którym walczył przez całe lata Aleksander Kunicki, autor książki wydanej przez PAX, był w istocie „cichy” i jak najbardziej „ściśle tajny”. Kunicki był bowiem oficerem wywiadu dywersyjnego dyspozycyjnych oddziałów kierownictwa Dywersji KG AK. Do jego zadań należało m. in. rozszyfrowywanie gestapowców, na których podziemie wydawało wyroki — ustalanie tras i godzin przejazdów przez Warszawę, ba, nawet... wyglądu. Wielokrotnie bowiem polskie podziemie poza nazwiskiem nie wiedziało formalnie nic o zakenspirowanym Niemcu, ani jak wygląda, ani gdzie mieszka i kiedy udaje się do gmachu przy Al. Szucha lub na Pawlak.

Żmudna, wielotygodniowa praca wywiadowcza Kunickiego i jego młodzieńskich pomocników — „Kamy”, „Dewajtis” — praca prowadzona, niejednokrotnie na terenie niemieckich dzielnic mieszkaniowych lub w pobliżu gmachów hitlerowskich urzędów — przynosiła pełne rozeznanie w rozkładzie dnia skazanego na śmierć gestapowca. Wówczas do akcji wkraczała grupa wykonawcza.

Znamy z wielu opisów i relacji, z filmów nawet — zamachy na Kutschera czy Koppego... To właśnie Kunicki i jego grupa obserwacyjna dokonywali rozpoznania terenu, to oni byli współtwórcami tych brawurowych akcji.

Ale nie dlatego pamiętnik „Cichy front” jest tak bardzo atrakcyjną literaturą, w każdym razie nie tylko dlatego... Jest to bowiem jedna z nielicznych relacji pamiętnikarskich opowiadająca właśnie o tym najmniej efektywnym, ale równie niebezpiecznym i potrzebnym odcinku podziemnego frontu. Wnosi więc do naszej wiedzy o latach okupacji szereg nowych, nieznanych elementów. Nie więc dziwnego, że książka Kunickiego uży

skała wyróżnienie Ministra Obrony Narodowej w bieżącym roku.

Al. Kunicki „Cichy front”
PAX — 1969 cena 30 zł.

PODRÓŻE W KRAJNĘ GIER

Lech Pijanowski we wstępie do swej książki wyznaje, że pisał ją dla przyjemności. Trzeba przyznać, że i z przyjemnością czyta się tę barwną opowieść o grach.

Jest to jednak książka dość specjalna. Nie polecałbym jej jako lektury rozrywkowej, choć traktuje przecież o grze, a więc o rozrywce. Książka Pijanowskiego jest bowiem świetnym, historycznym esejem — autor zgromadził tu ogromną ilość faktów i — przeszedł rozwój i metamorfozy dzisiejszych „ gier towarzyskich ” — od kulturowych układanek Indian, amerykańskich „ kombinatów zabawowych ” typu „ Monopoly ”. Jest to w końcu esej o kulturowym aspekcie gier towarzyskich, które — jak pisze Pijanowski — „ tworzą społeczeństwu ludzkiemu od najdawniejszych lat. Gdy przyjrzyć się im bliżej, można w krainie gier łatwo znaleźć ślady wielkiej historii, rozwoju kultury, psychologii, nauk ścisłych... „ Nie, co ludzkie nie jest mi obce ” — mogła by powiedzieć niejedna plansza, gdyby gry „ umiały mówić ”.

Mottem książki Pijanowskiego jest zdanie J. H. Huizinga — „ Gra jest starsza od kultury ”. Co to znaaczy? Chyba to, że wszelka gra to nie margines kulturowy, ale jej prapoczątek. Bo przecież — Pijanowski przeprowadza ten dowód — gry istniały gdy jeszcze nie istniały bardziej lub mniej zarysowane formacje kulturowe.

A więc — książka o prapoczątku i pradziejach kultury! Wdzięczny temat i książka pasjonująca.

J. W.

Lech Pijanowski „Podróże w krainę gier”, Iskry 1969
cena 36 zł.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Obserwując od kilku lat przebieg Kaliskich Spotkań Teatralnych, a także rejestrując przygodne głosy i sprawozdania o tej imprezie, stwierdzić muszę, pewien spadek zainteresowania, niegdyś wcale przecież żywego. Czy KST straciły na atrakcji? Częściowo tak, skoro np. nie przyjeżdżają do Kalisza ani nasz Teatr Nowy, ani tak pilnie śledzący życie artystyczne dziennikarze jak R. Janiśtański i M. Jagoszewski. Na zorganizowanej na początku Spotkań konferencji prasowej zjawili się raptem kilku dziennikarzy. Lecz przyczyny tej niżki są, jak zwykle na tym świecie bardziej złożone. Pewne znużenie imprezą kaliską byłoby może i stanem normalnym i po części usprawiedliwionym; z wyjątkiem Totolotki, który nieustraszenie co siedem dni igra z napiętnością hazardu Polaków, nie jest przejawem zdrowym i rozumnym dla ludzi sztuki popisywać się (obnażać) na mocy dobrowolnego obowiązku w regularnych odstępach czasu. W takiej sytuacji piękne intencje artystycznych konfrontacji zamieniają się w rozgrywkę o punkty, przechodzą w szturm po nagrody i wyróżnienia. Atmosfera walki konkursowej zostaje, bo tak być musi i tym nie należy się gorszyć, lecz zrobiono coś konkretnego dla podniesienia rangi kaliskiego przeglądu: nastąpiła korekta profilu Spotkań. W tym roku odbywały się pod hasłem polskiego dramatu narodowego, co wiązało się niewątpliwie z obchodzoną rocznicą urodzin St. Wyspiańskiego. Dopuszczono wprawdzie do udziału w konkursie wielkich klasyków (Szekspir, Marlowe, Calderon, Strindberg), zespół gospodarzy wystąpił nawet z prapremierą polską współczesnej sztuki czeckiej (Eksperyment „Damokleś”), jednakże te odchylenia — niektóre interesujące — nie skrzywiły modelu. Nie orientuję się, czy przyszłe (np. jubileuszowe X) KST odbywać się będą pod takim zawołaniem, czy obmyśli się inne, sam projekt, by koncentrować się w ramach określonej problematyki, form czy gatunków, jest słuszny. Odstępstwa od profilu będą nieuniknione, inaczej być raczej nie może, lecz winno się utrzymać zasadę skalającą.

Zmiana założeń artystycznych KST okazała się fortunna. Po pierwsze, wyeliminowano w ten sposób dość przypadkowy zestaw sztuk. Po wtóre, dano możliwość porównań inscenizacji jednej sztuki, a także oglądania sztuk rzadko wprowadzanych do repertuaru (np. Gnieźno przywiozło „W noc lipcową” B. Górczyńskiego i „Pamiętniki” J. Wojciechowskiego, Gorzów — „Proces”

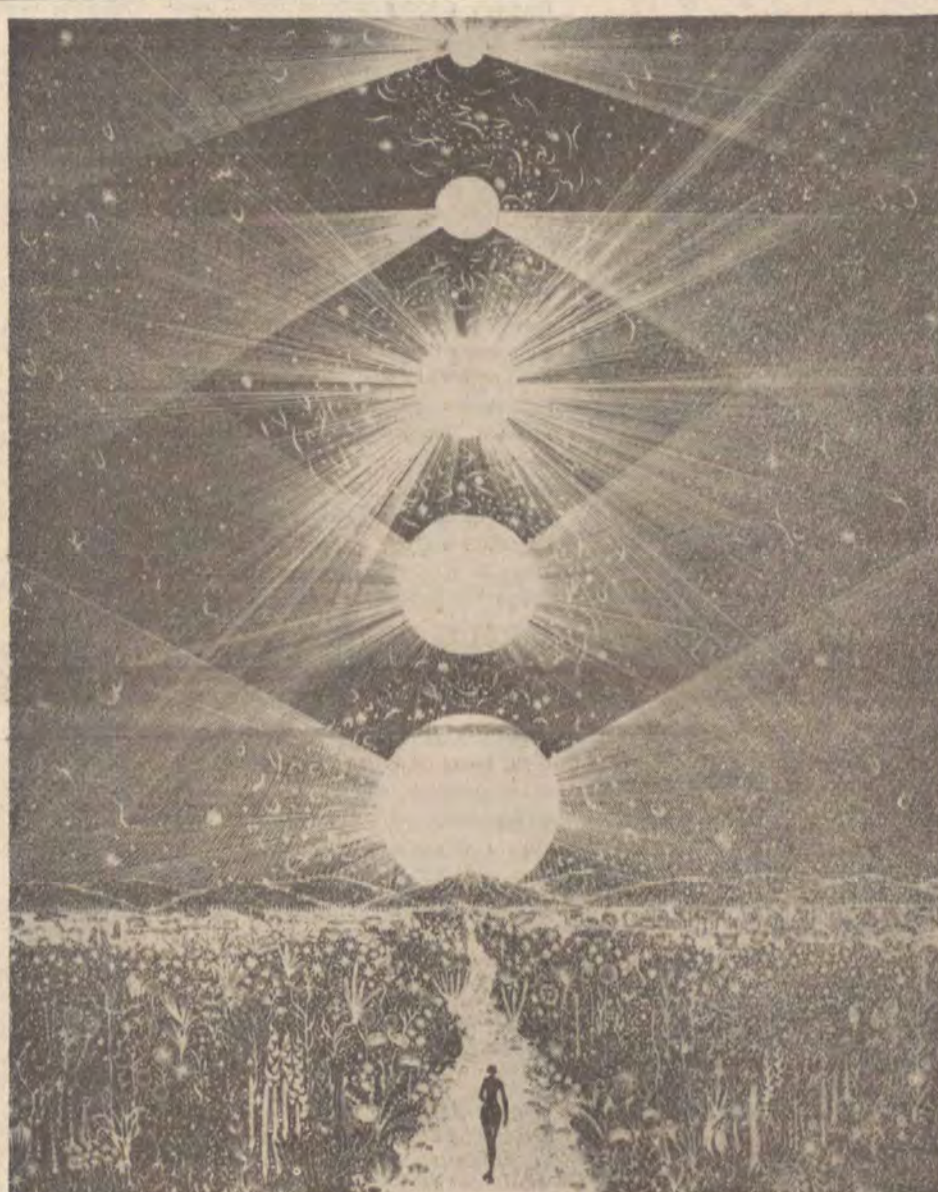
(świętojurski) B. Winnickiej. Gdyby chcieli zachować ten prezentacyjny charakter dramatu polskiego, należałoby przyjąć zawężone kryterium, powiedzmy, polskiego dramatu klasycznego, co by wyróżniało festiwal kaliski od festiwalu wrocławskiego.

Nie jedynie to wskazuje wartości wynikające z przekształcenia profilu. W moim przekonaniu ranga obecnych Spotkań polegała na czymś znacznie ważniejszym, ten aspekt warto szerzej omówić. Chyba po raz pierwszy w Kaliszu za prezentowało swe umiejętności najmłodsze pokolenie reżyserów, twórców z kilkuletnim stażem i doświadczeniem, oraz studentów Wydziału Reżyserii, mających na swym koncie ledwie po kilka prac. I niezamierzenie, bo tego nikt nie kalkulował, nastąpiła kon-

frontacja starszej kadry teatralników z wstępującą w życie zawodowe generacją; oto największa niespodzianka. Skutków tego zderzenia nie sposób przewidzieć, nie ulega natomiast wątpliwości, że ta grupa w najbliższej przyszłości zaznaczy dobitnie swą obecność w naszym teatrze, będzie kształtować jego oblicze. Przesałoby toby już dziś mówić o indywidualnościach, z etykietowaniem nie można się śpieszyć, lecz ich prace w znacznym stopniu usprawiedliwiają pokładane w nich nadzieje.

Mimo oczywistych różnic, jakie dzielą np. R. Kordzińskiego od H. Kajzara czy J. Grzegorzewskiego, w ich propozycjach artystycznych dostrzegamy pewne elementy zbliżne. Te powinowactwa nie uprawniają do łączenia ich w jedną grupę, a tym bardziej szkołę,

ponieważ są to raczej podobieństwa nie tyle poetyk, co zbliżonych postaw filozoficznych i estetycznych, wyrastających z pokrewnej, może toż samej koncepcji świata i człowieka. Zespala ich bezsprzecznie, co nie jest żadnym novum — często tak było — protest przeciw zastanym konwencjom teatralnym, negatywny stosunek do obiegowych, przez to zużytych form inscenizacyjnych, a tym samym standardowych orzeczeń interpretacyjnych. Stąd bierze się krytyczne, ostre, a czasem zgola bezwzględne traktowanie tekstu, prowadzące z reguły do przestawiania idej utworu do wymogów osobistej wypowiedzi, pod kątem indywidualnej oceny historii i współczesności. Bezceremonialność, czy też tyko bezkompromisowość adaptacyjnego postępowania, która



Henryk Pióciennik — „Miodowy Miesiąc”.

BOHDAN BARANOWSKI

BLASKI I CIENIE historii Polski XVII wieku

Obecnie gdy niemal cała Polska z olbrzymim entuzjazmem ogląda historyczny film o „małym rycerzu”, którego akcja, toczy się w drugiej połowie XVII w. nadzwyczaj aktualna stała się sprawa ogólnej oceny tego stulecia. Czy był to wiek upadku czy też wiek narodowej chwały i sukcesów naszego oręża?

W dziejach Polski, jak zresztą i w historii wielu narodów, mamy okresy wspaniałego rozkwitu potęgi państwowej i kultury, a także okresy regresu. Bezspornie XVI stulecie, ów złoty wiek państwowości polskiej, a także kultury polskiej, zaliczyć trzeba do najświetniejszych etapów w

dziejach naszego narodu. Odwrotnie pierwsza połowa XVIII stulecia, „nec saska”, mimo tego, że w świetle najnowszych badań okazuje się, że nie była ona aż tak ponura, jak to dawniej podkreślano, należy jednak uważać za okres największego upadku siły państwowej Rzeczypospolitej, jej potencjału gospodarczego i kulturalnego. Natomiast najbardziej kontrowersyjna jest chyba ogólna ocena wieku siedemnastego.

Dziwnie to było stulecie. Nigdy wcześniej ani później państwo polskie nie objęło tak wielkiego terytorium, jak właśnie w tym okresie. Nigdy też może oręż polski nie osiągał tylu wspaniałych sukcesów, a jednocześnie nie ponosił tylu hańbiących klęsk co właśnie w tym okresie. Spotkać w nim można przejawy najwyższego patriotyzmu, a jednocześnie tak liczne wypadki obojętności wobec spraw państwowych czy też nawet zwykłej zdrady narodowej.

Nie też dziwnego, że w historiografii naszej ocena wieku siedemnastego nigdy nie była jednolita. Przechylała się od jego pełnej apologii, aż po ponury obraz upadku państwa, wojski, gospodarki i kultury. Szczególnie historiografia z pierwszych lat Polski Ludowej spoglądała na ten okres przeszłości w sposób zbyt pesymistyczny. Prawie nie dostrzegała ona

w historii tego stulecia żadnych jasnych momentów, a otrzymany obraz był dość jednolicie ciemny, ponury. Ostatnio dość wyraźna się tendencja rehabilitacji tego stulecia, niekiedy zresztą zbyt daleko idące. Bo tak jak niesłuszna była tendencja zbyt pesymistycznego spojrzenia na dzieje Polski tego okresu, tak również nie może wytrzymać krytyki zbyt optymistyczny obraz tego stulecia. Kończąc jest rzeczowa dyskusja co w tym okresie było pozytywne, a co negatywne, co możemy wpisać do aktywów naszej przeszłości, a co do jej pasywów.

W naszych rozważaniach na plan pierwszy wysunąć musimy dwa czynniki: naród i państwo. Zaczniemy od tego pierwszego. Terytorium na którym dominował naród polski nie uległo w tym stuleciu ani zwiększeniu, ani zmniejszeniu. Natomiast nastąpiło pewne jego przesunięcie z zachodu na wschód. Pod silnym naciskiem niemieckiej czołgi się linia dominacji języka polskiego na Śląsku i Ziemi Lubuskiej. Zmniejszyło się bezspornie znaczenie żywiołu słowackiego na Pomorzu Zachodnim. Natomiast sprawą do dziś dnia nierozstrzygniętą jest to czy na terenie Prus Książęcych w następstwie wielkich zniszczeń spowodowanych przez akcję tatarską w okresie Potopu granica dominowania języka polskiego

przesunęła się na południe czy też na północ. Natomiast dość wyraźnie na wschód przesunęła się linia zasięgu polskiego terytorium narodowego na terenie Podlasia, dawnego woj. białskiego, ziemi chełmskiej, przemyskiej i sanockiej. Ogólnie więc biorąc terytorium zasięgu narodowego nie uległo poważniejszym zmianom.

Natomiast do pozytywów tego okresu należy z pewnością znaczne rozbudzenie się poczucia polskości wśród szerokiej rzeszy ludności plebejskiej. O ile w poprzednim stuleciu bardzo silnie wzrosło poczucie przynależności narodowej wśród szlachty i w kręgach zamożniejszego mieszczaństwa, to dopiero najazd szwedzki, konieczność wspólnej walki z groźnym napastnikiem, grabiącym i palącym wieś i miasto, w bardzo silnym stopniu rozbudził patriotyzm „szerokiej rzeszy ludowych”. Naturalnie był to patriotyzm pojęty jeszcze w dość uproszczony sposób, którego nie można identyfikować ze świadomym poczuciem patriotyzmu XIX lub z XX stulecia. Mimo wszystko było to zjawisko bardzo istotne i pozytywne. Szkoda tylko, że w zbyt małym stopniu objęło ono ziemie polskie leżące poza granicami ówczesnej Rzeczypospolitej.

Również zjawiskiem z pewnością nadzwyczaj pozytywnym było wygaśnięcie w tym okresie wybujałych ten

dencji odśrodkowych. Szczególnie w pierwszej połowie XVI w. występowały one dość silnie wśród szlachty na Mazowszu czy też na Pomorzu Gdańskim. A niejednemu z tej przedstawicieli chodzili wówczas po głowie mrzonki o osobnym państwie mazowieckim czy też o niezależnych Prusach Królewskich. W drugiej połowie XVI stulecia tendencje te przychłity. W XVII w. prawie zupełnie zamarły.

Dość istotne znaczenie ma sprawa roli jaką odegrało państwo polskie w siedemnastowiecznej polityce europejskiej. Była ona znacznie mniejsza niż w poprzednim stuleciu. Nie była jednak ona aż tak mała jak XVIII w. Nadal aktywność Polski na arenie politycznej była znaczna, a udział naszych wojsk w koalicji antytureckiej i sukcesy naszego oręża w bitwie pod Wiedniem spowodowały, że niemal do końca tego stulecia w dość istotny sposób we wszystkich kombinacjach dyplomatycznych liczone było na aktywną rolę naszego państwa. Gwałtowny spadek naszych akcji na międzynarodowej giełdzie politycznej nastąpił dopiero w ostatnich latach panowania Sobieskiego, kiedy okazało się, że opromienione sławą wiedeńskiej wiktoria nasze wojska wykazywały w następnych latach kompletną nieudolność w walkach na terenie Moldawii i pod Kamieńcem.

Spotkania Teatralne

zaczyna się właśnie od preparacji tekstu, wynika i z buntu wobec uznanych autorytetów, np. rodzinnych klasyków, przeciwko ciążeniu ich intelektualnych i emocjonalnych wzorców, „sile fatalnej” szeroko pojmowanej tradycji (myśli i formy); dotyczy to m. in. twórczości St. Wyspiańskiego. Wydaje mi się, że czołowym ekspozytorem tej skrajnej orientacji jest H. Kajzar. Jego współpraca z J. Szajną nad „Bolesławem Śmiałym” St. Wyspiańskiego (spektakl wrocławski) egemplifikuje wyrażenie tej metodę, jakkolwiek sądzę, iż w konkretnym wypadku indywidualność J. Szajny, jego porażająca wyobraźnia, dynamizująca znana obsesja, narzuca klimat, kształt plastyczny i wymowę temu widowisku. Ostało coś z kroniki królewskiej, ze zmagania królewskiego miecza z kłutą i srebrną trumną biskupa, lecz a-negoda ta została odczytana przez doświadczenia bliższe i gwałtowniejsze, wpisane w inferno oświecenijskie, w makabryczne misterium, okolonie w obrazie scenicznym dwustronnym rzędem pochylonych słupów z umieszczonymi w wyłotach światłokami, z korowodami procesji ludzi-czaszek. Z okrutnej legendy tamtych dzieł wyprowadzono młot o krwawym samotniczym losie jednostki, lecz nie ponadczasowy młot, bo sprężynę i z historią i z współczesnością. „Mam ten dar, patrzę się inaczej” — pisał autor w głosach do „Bolesława Śmiałego”; współtwórcy spektaklu wyciągnęli po-niekąd wnioski z tego przyzwolenia, i mimo wywołania tak innej wizji, pozostali wi-ściwie mu wierni, była to za-tem weryfikacja mądra i subtelna.

Te konfrontacje, obrachunki i polemiki, albo odpowiedzi na pytania zawarte w utworach, stanowiły rdzeń wszystkich wybitniejszych przedstawień, pokazanych w Kaliszu. Były to pasjonujące rozmyślenia, i nie tyle chyba nad historią, ile nad mitem, chociaż śledzenie meandrow dzieł, osiągnięte przez różnorakie odniesienia, pozostało w mniejszym lub większym stopniu suplementem takich refleksji. Z tego powodu niezmiennie interesujący był poznański spektakl „Rzeczy II stopadowej” E. Brylla. Dla R. Kordzińskiego ten utwór nie stał się partyturą zaduszek narodowych, ani myślał go celebrować, komponować w podniosły dyskurs, opowiedziany na maszynie czy tylko serio. Propozycję autora odczytał jako gorzki pamflet; mniósł, że jeśli nie znaczenia słów, to ich intencje, przekornie i szyderczo igrał z kaznodziejskimi aforyzmami, zatroskanie i powagę zamienił na desperackie szamo-

tanie się i belkot nad grobami, nad którymi tejeże znużenie i wielka niemożność, skraplające się w butelki po czystej. Była to projekcja koszmarnego snu, rozwrzeszczanego, ba jecznie pstrokatego, żałośnie groteskowego. Była to autentyczna eksplozja bujnej, żywiołowej, znoszącej fantazji (scenografia Z. Bednarowicza, wyróżnienie). Zadawałem sobie pytanie, co autor mówił po obejrzeniu tego spektaklu; jeśli go nie zaakceptował, to musiał przynajmniej, iż teatr jest wielce niebezpiecznym instrumentem (II nagroda).

J. Grzegorzewski otrzymał za inscenizację „Wesela” pierwszą nagrodę. Wiadomość ta zbulwersowała umysły. Generalny zarzut, spisany w Łodzi, sprostował się do „udziwnienia”, a przyczynił się do tego głównie... budzik, zawieszony wraz z serią noży w wewnętrznej stronie kołucha-bundy Wernyhora. Nie podobała się też materializacja Osób Dramatu (widm), bodaj miano i za złe inscenizatorowi, że miast „chaty rozpiewanej” pobudował klatki, ochlastane wapnem. Słowem: nie uszanował tradycji inscenizacyjnej, po zwolił sobie spojrzeć inaczej, zignorował zakorzenioną w kraju przestroję „Nie szargać świętości”. Pozornie tak się stało, lecz nie nazwiemy przecież takiego polemicznego stosunku do uznanych i sprawdzonych ujęć interpretacyjnych archywalną nietaktem. Pod warunkiem, że rezultat artystyczny potwierdza słusność samodzielnego odebrania dzieła. Spektakl to potwierdził. Przede wszystkim J. Grzegorzewski nie dał się uwieść kierezyjom, stonował dyskretnie kolorowość, ale niezbędne akcesoria i symbole pozostawił, wiązały one i tłumaczyły sens przebiegu tej nocy. Trudno uwierzyć wprost, aby „udziwniony” spektakl mógł mieć taki rezonans; ów wyśmienity zegar nie jest aż tak naliwym rekwiizytem, jak się niektórym zdaje, ale wyjaśnia jego obecność na scenie? Iś do teatru, zobaczyć raz jeszcze i — pomyśleć!

Zatrzymałem się dłużej na tych trzech przedstawieniach (z 15 pokazanych), gdyż były one rzeczywiście ozdobą kaliskiego festiwalu. Już choćby dlatego obronił on rację swego istnienia i konieczność kontynuacji. Poczekałmy zresztą!

Szczególnie natomiast jaskrawo rysuje się odmienność ich teatru od teatru uprawianego przez reżyserów starszego pokolenia mimo iż, kategorią pokoleń nie wyjaśni się wszy stkiego. Nie ma wątpliwości, iż to teatr inscenizatora, który nie tylko w Polsce zajmuje coraz poważniejsze miejsce. Konsekwencje tej hegemonii inscenizatorów nie dają się w

całej rozciągłości przewidzieć, lecz nie powinniśmy lekceważyć jej ujemnych skutków, widocznych, chociaż może istniejących niezależnie, pn. w poziomie — przeciętnie niskim — rzemiosła aktorskiego. Np. kilka przedstawień jedynie i dosłownie oglądaliśmy, nie słyszało się całych partii tekstu. Jak walczyć z przerażającą dykcją? Bywało tak, że chcieliśmy premiować aktora tylko za dykcję. Zgroza.

Nasuwa się uwaga, która, być może, również zaskoczy. Okazało się w Kaliszu, że tzw. prowincja teatralna, przynajmniej w jej najciekawszych manifestacjach artystycznych, nie ustępuje bynajmniej stolicy, nb. w sposób bezwzględny, od wielu lat drenującej i wyjąłajającej teren z talentów. Na zakończenie KST wystąpił, poza konkursem, Teatr Klasyczny z Warszawy („Horsztyński” J. Słowackiego, transmisja telewizyjna z Góluchowa, 12.V.). Na tle spektakli kaliskiego przeglądu, ten z szyldem stolicy, zaprezentował się nad wyraz przeciętnie. W każdym razie jako juror nie zaproponowałbym tej rzeczy nawet do wyróżnienia. Na tym samym poziomie objawili się renowani scenografowie warszawscy, którzy opracowali oprawę dwóch przedstawień prowincjonalnych.

Z satysfakcją się myśli, że prowincja zdobywa się na takie zasoby energii, inwencji i wyobraźni, że teatry, oddalone o dwieście czy czterysta km od stolicy, poczynają sobie wcale ambitnie, tworząc żywe artystycznie placówki, prowadzone w większości przez mło-

dych ludzi. Widocznie na czymś im zależy. W Kaliszu nagrodzono np. kierownictwo i zespół Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie „za ambitne poszukiwanie własnego modelu ideowo-artystycznego”; to ten teatr przygotował Calderona „Życie jest snem” (scenografia T. Targonskiej, wyróżnienie). Bałtycki Teatr Dramatyczny — scena w Słupsku — otrzymał III nagrodę za świetny, z pasją i po-łotem zagrany spektakl „Edwarda II” Ch. Marlowe’a (reż. M. Prus, nagroda młodego aktora — L. Górczyński). Poza konkursem dano drugi spektakl tego teatru — scena w Koszalinie — „Krakowiaków i górali” W. Bogusławskiego w reż. A. Ziębińskiego, dyr. i kierownika artystycznego teatru.

Jak co roku, odbywały się także imprezy towarzyszące, m. in. sympozjum teatrologiczne. Jak co roku, organizacja była wzorowa. I jak zwykle, dopisała kaliska publiczność, żywa, spontanicznie reagująca, rozmówczona w sztuce, w aktorach. W „Edwardzie II” grała zóna b. dyrektora teatru kaliskiego, nieodżałowanej pamięci T. Kubalskiego p. K. Starzycka-Kubalska. Za jej ukazaniem się na scenie rozległy się długie, głośnie brawa. Tak witała świętą aktorkę, która nie grała tu od sześciu lat. Ten drobny z pozoru fakt świadczy wymownie o wyrobieniu teatralnym kaliskiego społeczeństwa, o jego serdecznych związkach z ludźmi teatru. Gdyby nie było innych racji, przemawiających za utrzymaniem Kaliskich Spotkań Teatralnych, trzeba je organizować dla tej publiczności.



Fot. W. Parys

Twarze włókniarek

Nitki, strumienie nitki płynące z mechanicznego krosna jak z wodospadu... Na tle tego strumienia białych nici, szare, spracowane dlonie łódzkiej włókienki. Takie jest entre na wystawie fotografów Włodzimierza Parysa, wystawę eksponowaną w hallu Domu Kultury ZPB im. Marchlewskiego. Związek tej wystawy z zakładami im. Marchlewskie go nie jest przypadkowy, okolicznościowy i od święta... To po prostu jeden z elementów współpracy fabryki z Państwowa Wyższą Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi.

Ala, wróćmy na wystawę. Znany łódzki artysta — fotografik Włodzimierz Parys prezentuje tu 30 prac, 30 portretów włókniarek. Na te trzydzieści fotografii złożyły się dwa miesiące wędrowek z kamerą po halach produkcyjnych, chwytania na go-racy w rytmie pracy skupionych twarzy robotnic, notowania na taśmie filmowej gestów i uśmiechów.

Wystawa Parysa jest wystawą portretów, ale są to wizerunki bez upiększeń i poz, bez światła i formalnych sztuczek. Artysta pokazał zbiorowość i indywidualność zarazem — pokazał odrębność i charakter każdej z portretowanych włókniarek, ale równocześnie ukazał wspólny dla tej zbiorowości rytm pracy, pogoń sprawnych rąk za bieżącą nicią. Pokazał także w tle ową scenografię przemysłową — zwałiste i obłe korpusy maszyn, sportre-

tował także maszyny towarzące robotnicom w nerwowym rytmie pracy. Wystawa Włodzimierza Parysa jest wystawą oryginalną i artystycznie u-fektowną, choć fotografik unika efektów. I uniknął tanich efektów, ale wspólnie ton owych trzydzieści prac, surowych portretów kobiet we wnętrzu dnia pracy, w zgiełku maszyn — ten wspólny ton jest bardzo efektowny, bo nowy, bo odkrywczy... „Chciałem pokazać te kobiety takie jakimi są na co dzień, a nie od święta i dla „fotografu”. Dlatego wędrowałem z kamerą po halach fabrycznych, dlatego zawędrowałem do mieszkań rencistek, dlatego wyszedłem przed bramę na styku zmian” — mówi Włodzimierz Parys. Od siebie dodam — właśnie dlatego wystawa fotografów w Domu Kultury ZPB im. Marchlewskiego jest niewycy-nym na gorąco kwiatkiem autentycznego życia, autentycznej fabryki, ludzi w niej pracujących...

Ta interesująca wystawa mówiąca więcej prawdy o włókniarskim trudzie niż dziesiątki okolicznościowych, upozowanych fotek — warta jest tego, aby pokazać ją nieco szerzej niż można to było uczynić w niewielkim hallu Domu Kultury. Pełniejsza ekspozycja byłaby ukoronowaniem nie tylko pracy artysty, ale i jego modelek, wiodących czuły-mi rękami wodospady nit-tek.

J. W.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

■ JARMARK W RZGOWIE —

R. Binkowskiego

■ PILNIE POSZUKIWANI —

K. Badziaka

■ KROK ZA IMPROWIZACJĄ —

L. Włodkowskiego

■ WIEDZA POLITYCZNA STUDENTÓW

■ SYLWETKA JERZEGO PUTRAMENTA

■ OPOWIADANIA SATYRYCZNE

I tu nasuwa się sprawa oceny naszej wojskowości tego stulecia. Z jednej strony tak wspaniale zwycięstwa jak Kirchholm, Chocim, Wiedeń, z drugiej zaś tak kompromitujące klęski, jak Pilawce, lub kapitulacja pod Ujściem. Mamy tu skomplikowane pomieszanie różnych elementów. Bezspornie na szczególne uwzględnienie zasługuje tu „niewo-ła” i nadzwyczaj liczne przykłady heroicz-nego poświęcenia szerokich rzesz żołnierskich, w olbrzymiej większości zresztą plebejskiego, a nie szlacheckiego pochodzenia. Są to chyba najjaś-niejsze karty naszej historii XVII w. Z drugiej strony podkreślać tu trzeba brak całego naszego systemu organizacyjno-wojskowego, ustawiczne trudności finansowe na tym odcinku. Nie opłacani całymi latami najbar-dziej waleczni żołnierze, zmuszani do zdobywania prowiantu i furazju drogą rekwiizycji, tak łatwo zmieniali się w niekarnych rokoszan lub na-wet przeobrażali się w zwykłych „gra-santów”, którzy stawiali się postrachem dla spokojnych mieszkańców wsi i miast.

A wreszcie sprawa poziomu naszej wojskowości. W pierwszej połowie XVII w., a szczególnie w latach trzydziestych i czterdziestych tego stulecia, należeliśmy z pewnością do czołówek europejskiej w tym zakresie. W nadzwyczajny sposób przeno-

szone były na nasz teren podstawowe innowacje wprowadzane w najlepszej armii Europy, a mianowicie szwedzkiej. Niekiedy ulegały tu one znacznym udośkonaleń. Szczególnie zaś artyleria i służba techniczna osiągnęły nadzwyczajny wysoki poziom, a takie nazwiska jak Kazimierz Siemienowicz, Krzysztof Arciszewski, Adam Freytag, specjalnie zasługują na uwagę. W drugiej połowie XVII w. sytuacja na tym odcinku, co znacznie się pogorszyła. Mimo pewnych sukcesów nie nadążaliśmy za wielkimi zmianami, jakie zachodziły w innych krajach. Odległość dzieląca nas od czołówek powoli zwiększała się.

Dość istotnym zagadnieniem jest sprawa dowódców naszego wojska tego okresu. Nigdy może armia przed-rozbiorowego państwa polskiego nie miała takiej ilości utalentowanych i wysoko wykształconych w swym zawo-dzie wyższych oficerów niż właśnie w tamtych czasach. Na tym jednak odcinku trzeba by chyba przeprowa-dzić pewną akcję weryfikacyjną. Daw-niejsza historiografia zbyt jedno-stronnie wysuwała tzw. „wielkich het-manów”, którzy do tych stanowisk dochodzili tylko na skutek swego magnackiego pochodzenia. Należy mo-że zastanowić się czy Stanisław Żółkiewski był naprawdę wielkim wo-dzem czy też został pasowany do

rolli bohatera narodowego na skutek śmierci na placu boju, w dość specy-ficznych warunkach. Z pewnością pewnym nieporozumieniem były sprawy pasowania na wielkich wodzów Stanisława Rewera Potockiego, Jerze-go Lubomirskiego, lub Pawła Sapie-hę, wojska ich odnosiły sukcesy, ale nie była to ich zasługa. Z pewnością jednak do grupy wielkich wodzów tego okresu zaliczyć trzeba Chodkie-wicza, Koniecpolskiego i Sobieskie-go. Postać wciąż jeszcze kontrowersyjną jako wodź jest Krzysztof Radziwiłł. Większą natomiast uwagę trzeba chyba położyć na sprawę dzia-łalności dowódców niższej rangi, któ-rym drobno — lub średnioszlacheckie pochodzenie utrudniało dostęp do najwyższych godności wojskowych. Dotychczas z tej kategorii jedynie Ste-fan Czarniecki uznany został za bo-hatera narodowego. A przecież mo-glibyśmy tu dysponować znacznie szerszym zestawem nazwisk, jak chociaż-by Stefan Chmielecki, Aleksander Piaseczyński, Jan Odrzywolski, Krzy-sztof Grodzicki, Zygmunt Przyjem-ski, Jan Bogusz i in. Ta właśnie gru-pa wyższych oficerów kierowała naj-częściej działaniami wojennymi w imieniu nie zawsze wybitnych het-manów, którym oddawano buławy z racji ich pochodzenia i majątku. A wreszcie na większą uwagę zasługu-ją chyba dość liczni dowódcy anty-

szwedzkiej partyzantki. Walka ta miała zresztą specyficzny charakter i dlatego też wybaczyć im musimy różnego rodzaju rekwiizycje, przybie-rające niekiedy charakter zwykłych rabunków, czy też pogromy arian i innych protestantów.

Historiografia pierwszych lat Polski Ludowej zbyt jednostronnie wysunęła na czoło naszego życia kulturalnego tego okresu samych tylko arian. Na pewno ideologia i nauka arijska mogą być zaliczone do najwyższych osiągnięć naszej kultury tego okresu. Z drugiej jednak strony trzeba zwró-cić uwagę i na cały szereg innych osiągnięć z zakresu życia kulturalnego. Nie można zbyt lekceważyć poziomu nauk polskiej pierwszej po-łowy tego stulecia. Szczególnie w dziedzinie nauk ścisłych mieliśmy je-szcze dużo do powiedzenia. Inna sprawa, że już w drugiej połowie tego stulecia sytuacja na tym odcinku przedstawiała się znacznie gorzej. Tak samo nie można lekceważyć sztuki polskiej tego okresu. Również na sła-bo rozpracowanym polu kultury lu-dowej XVII w. dostrzec można wiele ciekawych i godnych uwagi zjawisk. Nie można jednak zamykać oczu na sprawę wzrastającego obskurantyzmu i zacofania jezuickiej kontroforma-cji, aktów nietolerancji, szerokiego rozpowszechniania się procesów o cza-ry itp.

A wreszcie zanotować trzeba dość wyraźny regres gospodarczy nastę-pujący w tym stuleciu. I tego zjawiska nie można jednak przed-stawiać li tylko jednostronnie. Na tle tego regresu w pierwszej połowie tego stulecia dostrzec można pewne zjawiska pozytywne. Nie brak ich zresztą będzie i w czwartym ćwier-ćwieczu, gdy po zniszczeniach wojen-nych kraj powoli dźwigał się z u-padku.

Przy ogólnej ocenie wieku śledem-nastego nie można zapominać o tym, że w porównaniu z poprzednim stu-leciem był to okres obniżenia się po-ziomu naszego życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego. Nie moż-na jednak zaliczać go do okresu zu-pelnego upadku i łączyć go razem w jedną całość z pierwszą połową XVIII stulecia, z osławionymi czasami saski mi. Obraz tego nie może też być ma-lowany jedynie ciemnymi, lub też odwrotnie tylko jasnymi barwami. Na tle ogólnego, powoli następującego regresu widzimy w nim wiele zja-wisk pozytywnych, wiele faktów, któ-re zaliczyć trzeba do najpiękniejszych kart naszej przeszłości.

POLSKI NUMER
„NOUVELLES
LITTÉRAIRES”

Paryski tygodnik „Nouvelles Littéraires” poświęcił znaczną część swego numeru z 24. IV. polskiej sztuce. Okazją były dwie wystawy. O pierwszej z tych wystaw pisze w „Nouvelles Littéraires”, jej komisarz, Jerzy Banach. Szwedzka, że chodzi tu o największą eks pozycję jaką kiedykolwiek Polska wystawiła za granicę. Dziesiątki muzeów polskiej sztuki złożyły się na dokonany wybór; znalazły się tu zarówno dzieła artystów polskich jak i zagranicznych, ale związanych z polską sztuką.

Szczegółowe omówienie dzieł wystawionych w 18 salach Petit Palais daje na 2 stronach „Nouvelles Littéraires” Jean Dalcroix. Podkreśla on bliskie związki polskiej sztuki z Francją. Przypomina miedzy innymi sławę jaką osiągnął Meinhof, Gerold Gassiot — Talabot mówi o no woczesnej sztuce polskiej, jej oryginalności i znaczeniu.

Artykuły są bogato ilustrowane reprodukcjami, m. in. widać tu „Happening” Tadeusza Kantora („Lekcja anatomii według Rembrandta”), oraz „Sprez z Wergiliuszem” Zbigniewa Makowskiego i „Relief” Henryka Szafelewskiego. Wystawa pt. „Tysiąc lat sztuki polskiej” jest otwarta codziennie (z wyjątkiem wtorków) od 10 do 13.30 (w środy od 10 do 12.30); Ekspozycja w muzeum Galliera codziennie (z wyjątkiem wtorków) od 10 do 12. Termin zakończenia jest przewidziany na 3. września 30. czerwca. Ale frekwencja jest tak duża, iż przewidziana jest prolongata wystaw.

Artykuł Geralda Gassiot-Talabot opiera się m. in. na informacjach dostarczonych przez dyrektora muzeum w Łodzi, oraz komisarza wystawy paryskiej, R. Stanisławskiego.

MARIANOWICZ
W „NOWIE”

Leninradzki miesięcznik literacki „Nowa” sporo miejsca poświęca satyrze i humorowi. W ostatnim, czwartym numerze tego czasopisma zamieszczono humorystyczny artykuł Marijanowicza nt. „Trochę za późno”. Zawiera ona ostrą krytykę stosunków państwowych w Bundeswehrze. Dialog Generala z byłym żandarmem z GG niejakiem Schultzem obnaża proflite rowskie tesknoty współczesnych militarystów i od wetowców niemieckich.

Autorem przekładu jest E. Papiernaja.

K. F.

„KONCERT
E-moll”

Tytuł nie budzi wątpliwości. „Koncert E-moll”, to fragment życia Fryderyka Szopena przyjemnie i ładnym językiem udratyzowany przez Ludwika Świeżawskiego. Autor w oparciu o biograficzne wątki, z ostatnich miesięcy przed wyjazdem naszego wielkiego kompozytora za granicę, snuje liryczną opowieść o pierwszych męskich rozterkach, niepokojach i uczuciach Fryderyka.

Kończy się sielski okres życia genialnego „Frydrysia” wśród kochających go i podziwiających siostr, matki, ojca i przyjaciół domu. Ciepłota i subtelność, rodzinna atmosfera tego domu maluje Świeżawski pastelową tonacją, zgrabnie ukazując w dialogach sposób, w jaki przekazywano sobie życzliwość uczuć. Jest to w strukturze utworu rzecz niewątpliwie pozytywna; silny akcent dydaktyczny dotyczący stosunków międzyludzkich. Cały zresztą „Koncert E-moll” to w zasadzie utwór o walorach dydaktycznych, dla tych, którzy nie dość znają lub już nie pamiętają pisemnego czy też innego przekazu, który traktuje o życiu i twórczości Szopena.

Dziewiętnastoletni Fryderyk zaczyna dojrzeć do odegrania wybitnej roli w narodzie. Wątki patriotyczne, choć niezbyt wyeksponowane, pod koniec utworu coraz gęściej wplatają się w osnowę opowieści. Przyjaciele, Matuszyński i Magnuszewski, pocieszają „Frydrysia”, że muzyka to jego oręż. A już zbierają się chmury przed listopadową burzą; niebawem wybuchnie powstanie.

Nutę narodowo-ludową, a zarazem załagę dramatu, wprowadza autor za pośrednictwem Zuzki, dziewczyny służebnej Szopenów. Jest ona (Zuzka) pełna świeżej i prostej mądrości jak również pięknych uczuć, którymi obdarza genialnego „Frydrysia”. On tego nie zauważa, kocha się bowiem w Konstancji Gładkowskiej. Justyna cierpi. Już coś kielkuje: gdyby ten wątek rozwinąć, byłby on zapewne

potencjalnym promotorem w rozbudowie konstrukcji sensu stricte dramaturgicznej. Świeżawski jednak nie ważył się na wprowadzenie fikcji literackiej, nie chciał zostać „obrazoburcą prawdziwej historii”. Opowieść o Szopenie nie stała się dramatem.

Ładne to jest, gdy Zuzka mówi, że pan „Frydrys” układa to, co ona śpiewa. Teraz brzmi to jak uogólniająca metafora.

Koncert E-moll dał młodemu Szopenowi sukces warszawski, ale on już myślał daleko. — „W Paryżu jest wielka sztuka, tam musisz jechać” — mówi Luś Wołowski. Później Fryderyk napisze „Etiudę Rewolucyjną”, może już teraz „układa ją w głowie”, widząc i czując gorączkę przed wielkimi wydarzeniami; wielką radością, po której klęska jeszcze boleśniejszym czasem uczyni.

Tymczasem Zuzka płacząc pakuje kufry „Frydrysia”. Szopen wyjedzie. Już nigdy nie wróci, już do końca będzie grał i tęsknił do wszystkich bliskich, których zostawił — do Ojczyzny.

W pokazie „Teatru Propozycji” dnia 14.IV.89 r. udział wzięli artyści scen łódzkich: Bohdan Mikuć, Mirosława Maludzińska, Wanda Chwiałkowska, Elżbieta Starostecka, Iwona Słoczyńska, Janusz Mazanek, Janusz Kubicki, Włodzimierz Tympalski, Jan Zdrojewski. Utwory Szopena wykonywał Włodzimierz Korcz. Reżyseria — Bohdan Mikuć.

Książki

nadesłane

Terlecki Olgierd „SIEDEM DNI ISABELLI” Wyd. Lit. Kraków 10 zł.

Kubacki Wacław „KARTKI NA WIETRZIE”, Czytelnik W-wa 10 zł.

Nawrocki Aleksander „OBEC NOŚĆ” Iskry W-wa 10 zł.

Jorge Semprun „OMDLENIE” PIW W-wa 16 zł.

Bertolt Brecht „ROZMOWY UCHODZCOW” PIW W-wa 20 zł.

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI

„Romans gdański”

„Tosca”

„Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie”

„Zemsta nietoperza”

„Cyrulik Sewilski”

NOWY

„Żeglarz”

„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”

„Rewizor”

„Pierścień wielkiej damy”

MAŁA SALA

„Księżyc świeci nieszcześliwym”

„Szkola kobiet”

„Bliski nieznajomy”

POWSZECHNY

„Plaszcz”

„Czarna komedia”

„Kim jesteś, inżynierze”

im. JARACZA

„Anabaptyści”

„Wesele”

T.I.S

„Znamy cię tylko z widzenia”

OPERETKA

„Turniej w Rio de Maracasso”

FILHARMONIA

Koncerty symfoniczne

Liczba
spektakli widzów proc.

2 2520 100

1 1230 98

1 1220 97

1 1290 100

1 1245 99

3 2100 100

3 2100 100

1 500 80

1 450 65

2 400 100

1 200 100

1 150 70

1 500 80

1 620 92

2 1200 92

1 582 92

2 1092 86

2 786 83

6 5325 80

2 700 50

OBIEKTYW

Wielkie widowisko

Sport zaliczyć należy do widowisk. Jego dzieje są chyba równie długie jak dzieje cywilizacji ludzkiej. Współzawodnictwo siły, zręczności, ambicji, wytrwałości, woli walki, stanowiło od tysiącleci pasjonujący spektakl, w którym nie jest z góry zaplanowane i w którym nigdy do końca nie wiadomo, kto zagra rolę zwycięzcy.

Wszelkie próby reżyserowania sportu, markowania walki, uzgadniania końcowego rezultatu, szybko się dekonstruuje. Widz czuje się w takich razach oszukany, uważa że ma w takim wypadku do czynienia z cyrkiem, nie ze sportem.

Charakterystyczne, że nawet filmy sportowe, w których ze względów fabularnych imituje się tylko zmagania na stadionie czy bieżni, cieszą się miernym powodzeniem u publiczności. U tej samej publiczności, która emocjonująco mecz piłkarski, czy walka bokserów doprowadza nieraz wręcz do ekstazy. Zrozumiała rzecz, w filmie fabularnym zachowane są tylko zewnętrzne formy zawodów sportowych, wygubiona natomiast zostaje najistotniejsza treść, polegająca na uczestnictwie publiczności w istotnych zmaganiach.

A filmowe relacje z prawdziwych zawodów sportowych? Oglądamy je nawet chętnie w kronice, ale przecież nigdy nie wywołują w nas owego orzenia z emocji. Wiemy, że mamy do czynienia z faktami z przeszłości, z meczem, którego rezultat — choćby nam w momencie oglądania kroniki nieznany — ustalony został już dawno i nic go nie może zmienić.

Nie nie zastąpi uczestnictwa w zawodach sportowych na trybunie, gdy uczucia tysięcy ludzi stapiają się w jedno pragnienie, by wygrał nasz faworyt, gdy wydaje nam się, że okrzykami, krzykiem, czy nawet wewnętrznym napięciem nerwowym pomagamy mu w rozstrzygnięciu walki na swoją korzyść.

Ala najbliższa tych odczuć jest telewizja w bezpośrednich relacjach z zawodami sportowymi. Tutaj mamy owo wspaniałe poczucie, że wszystko jeszcze może się stać, że nie nie zostało pod naszą nieobecność zadecydowane. Na naszych oczach zapadają rozstrzygnięcia, i choć nie siedzimy na trybunie wśród publiczności, to przecież widzimy tę publiczność na ekranie, obserwujemy jej reakcje, słyszymy okrzyki.

Dzięki telewizji możemy przenosić się na odległe nieraz o tysiące kilometrów stadiony, by uczestniczyć w najciekawszych imprezach, przeżywać z zawodnikami radości zwycięstw i gorzkie porażki, utożsamiać się z nimi. Dzięki telewizji posuwają się możemy codziennie za wielką kawką kolarzy, walczących na trasie Wysiegu Pokoju.

Właśnie, Wysieg Pokoju. Gdy piszę ten felieton, jeszcze trwa, gdy czytacie te słowa — już się zakończył. To już bodaj jedynasty raz transmituje telewizja całość wysiegu, dostarczając widzom wielu emocji i wzruszeń. Przedtem mieliśmy tylko relacje radiowe. Także emocjonujące, ale przecież niewspółmiernie uboższe w porównaniu z widowiskiem telewizyjnym.

Dobrze, że mamy szansę być widzami zaszarych zmagania kolarzy. Na tym tle byliśmy świadkami także innego, bardziej ukrytego współzawodnictwa. Walczyli bowiem o lepsze dwie metody sprawozdawcze. Pierwsza reprezentowana przez Bohdana Tomaszewskiego, druga — przez Jacka Zermantowskiego.

Tomaszewski gorzał w tym pojedynku doświadczeniem. Prowadził sprawozdania z ogromną wprawą, ale i z wyraźnym sygnalizowaną manierą. W swej perfekcji i pewności siebie popadał często w nastawione przez samego siebie pułapki. Dramatyczne intonacje głosu nie zawsze miały pokrycie w treści wypowiedzi. Ryzykownie budowane konstrukcje słowne błyskały często mienią, lub brzmiały wręcz śmiesznie. I to śmiesznie w sposób nie zamierzony.

Zermantowski jest bardzo młodym sprawozdawcą, który zabłysnął właściwie dopiero w relacjach z Mexico 68, przy czym wygłaszał je ze studia olimpijskiego w Warszawie. Teraz uczestniczył bezpośrednio w wielkiej imprezie kolarskiej. W jego wypowiedziach wiele jest jeszcze niedoskonałości, ale przeciwstawił on Tomaszewskiemu naturalność i szczerze, nie „robione” przeżycia własne.

Zermantowski był autentyczny w ujawnianiu swoich emocji, a przy tym nie przesadny. (To nie on, komentując filmową relację z któregoś etapu, użył pod adresem Szurkowskiego słów: „Ta nasza szósteczka kochana!”) Chyba dlatego właśnie Zermantowski bliżej jest odczuciom współczesnego widza i wygrywa w jego opinii współzawodnictwo ze starym mistrzem. Normalna kolej rzeczy: Tomaszewski był kiedyś bożyszczem, ale już trochę zgrał swoje karty.

Zmieniają się konstelacje personalne, starzy zawodnicy odchodzą, wyrastają nowi bohaterowie. Nazwiska: Królak, Vesely, Schur — to już historia. Nie postępuje tylko naprzód techniczna strona sprawozdań telewizyjnych z Wysiegu Pokoju. Nawet takiej sprawy, jak zapewnienie udziału helikoptera na całej trasie, nie udało się rozwiązać. Czy doczekamy się kiedyś wrzeszczących bezprzewodowych kamer TV, które z samochodu przekazywać będą bezpośrednie relacje z walki na szosie?

Władysław Osiński

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Kilkuletnie po zrealizowaniu „Faraona” milczenie Jerzego Kawalerowicza przerwała wreszcie premiera jego nowego filmu pt. „GRA”. Kawalerowicz nigdy nie rozpieszczał polskiej widowni częstymi premierami swych filmów, przynajmniej trzeba jednakże, że „Pociąg”, „Matka Joanna od Aniołów”, „Faraon” były wydarzeniami w dziejach polskiej kinematografii. To też oczekiwaniu na „GRĘ” towarzyszyły przypuszczenia, że film ten potwierdzi zaufanie, które w stosunku do twórczości tego reżysera zawsze posiadaliśmy. Wynikało ono z uznania wartości reżyserskiego mis-

trzostwa Kawalerowicza, twórcy poszukującego, szczególnie silnie dbającego o kształt formalny i o precyzję dramaturgiczną swych filmów.

„Gra” jest dalszym ciągiem artystycznych poszukiwań Kawalerowicza, przykładem ambicji twórcy, który tym niemal całkowicie autorskim z deklaracji i intencji filmie zaprzagnął włączyć się w nurt nowych tendencji światowego kina.

Rzecz w tym, że „nowe kino” jest już trochę stare i sądzić można, że świadomość tego towarzysząc Kawalerowiczowi, kazala mu to wyście uczynić maksymalnie doskonałym. Pozukiwanie tej doskonałości stało się w wypadku „Gry” próbą uporania się z całym bagażem narosłych już przecież nowofalowych konwencji. Rozstanie z kanonami klasycznej dramaturgii, absolutna swoboda układów czasu i przestrzeni, wprowadzenie do filmu scen (wykład o budowie oka czy prezentacja rysunków Moniela) pozostających poza wszelkim związkiem z przedstawioną małżeńską historią, noszą wszystkie cechy tendencji „nowego kina”.

Widzimy, iż Kawalerowicz pragnął oddać w tym filmie prymat narracji subiektywnej, opowiedzieć historię poprzez pryzmat wrażeń zmysłowych i odczuć psychicznych głównych baha-

terów. Odnosimy jednak wrażenie, że uczucie pełnej swobody w procesie kreowania świata przedstawianego wywołało w twórcy pragnienie ingerencji, a więc i interpretacji absolutnej. Efektem tego stała się wszechobecność twórcy we wszystkich co na ekranie się dzieje. Uznając wszelkie prawdy gustu, wyznam szczerze, że mnie ta obecność przeszkadza. Nie mogą się wyzwolić z uczucia, że uczestniczę w akcie wyważonej doświadczenia intelektualnej i artystycznej, która sprawia, że z ekranu wieje chłodem, że wbrew intencjom twórcy intelektualne igraszki montażowe nie zawsze wywołują zamierzone przez niego refleksje, a całość nie jest w stanie w pełni zaangażować emocjonalnie.

Być może, że jest to również wynik roli, jaką powierzył Kawalerowicz w swym filmie widzom. Jesteśmy tylko świadkami gry, nie mamy na nią wpływu, kończy się w miejscu, w którym się zaczęła, a pro wadzą ją obcy nam ludzie. Niepokoi mnie właśnie to odczucie obcości w miejscu, w którym dochodzi do głosu przecież samo życie, może nie w swym optymistycznym wariacie, ale przecież prawdziwe.

Jeśli sztuka miła się z tym życiem, nie przylega do niego, to jest w jej

tworze jakieś pęknięcie i chyba właśnie artystycznej natury. Utwierdza mnie w tym świadomość, że tylko nie wielu arcydziełom sztuki narracyjnych udało się obronić przed zarzutem melodramatyzmu.

„Gra” jest nie tyle filmem o uczuciu, ile o próbie zachowania jego pozorów i możliwości funkcjonowania tam, gdzie już go nie ma. „Gra” nie jest filmem demaskatorskim ani wojującym, „Gra” konstatując, pozwala tylko na obserwację, w której ani moment analizy, ani diagnozy nie przynosi recept. Obserwacja dotyczy gry jaką prowadzą małżonkowie.

Zgubiwszy w ciągu lat uczucie pozostają przy sobie toczą grę, której stawką jest szczęście widziane w utrzymaniu małżeństwa. Ten upór gry jest przerażający w chwili, gdy kulisy stawką przestają być tajemnicą. Choć w grze tej jedna ze stron, według intencji twórców filmu — Mała, popełnia więcej nieczystych zagrań, rozgrywką toczy się dalej, gdyż partner — Zona ją akceptuje.

Czy kieruje nią miłość? Czy zazdrość Meza wywołana jest przez miłość, czy w słowach o samotności, niezrozumieniu i lęku kryją się te uczucia istotne? Czy chwile upoju, pogodzenia, walki o partnera, a wre-

ście trwania przy nim, to istotnie miłość? Czy to wszystko jest grą, zakładaniem maszek pozorów, które tę grę i to trwanie mogą przedłużyć? Twórcy filmu odpowiedź twierdzącą widzą w tym ostatnim pytaniu. Nie sądzę jednak, by z tej gry czynili receptę, dokonali tylko konstatacji. Rzadko chwalimy ogrom banalnych słów czy sytuacji. W tym filmie brzmiały i wyglądają jednak dziwnie prawdziwie.

Brak pełnego sukcesu przedsięwzięcia Kawalerowicza oświadczenie upatrywać będę nie w mieliznach tematu lecz w środkach jego artystycznej realizacji. We fragmentach bardzo atrakcyjnych, często kunsztownych, w innych jednak natrętnej, niespójnej, ocierającej się nawet o granicę nie dobrego smaku.

Mówiąc o nowym filmie Kawalerowicza nie sposób nie wspomnieć o tym, iż kontynuuje on dobrą tradycję jego warsztatu reżyserskiego — wielką umiejętność współpracy z aktorem. A wybrał Kawalerowicz do swego filmu świetną Lucynę Winnicką i Gustawa Holoubka i wielu świetnych aktorów do znakomitych epizodów. Klimat całego filmu podbudowują piękne zdjęcia Jana La-skowskiego.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Obraz Kandinskiego (1926)

PARYSKA WYSTAWA „BAUHAUSU”

Pięćdziesiąt lat temu, w 1919 roku, niemiecki architekt Walter Gropius założył w Weimarze „Bauhaus”, który był zarazem szkołą i ogniskiem nowatorskiego ruchu artystycznego. Twórca „Bauhausu” wychodził z założenia, że nadszedł czas, aby stworzyć nowy rodzaj sztuki odpowiadający potrzebom człowieka. Zwalczając modne wówczas hasło „sztuka dla sztuki” Gropius i jego współpracownicy wysunęli hasło sztuki wdrażającej we wszystkie dziedziny życia człowieka, a nawet samo słowo „architektura” Gropius i jego zwolennicy rozumieli w sensie niezwykle szerokim. Tak rozumiana przez nich sztuka, kształtować miała zmodyfikowaną postać wszelkich przedmiotów użytkowych człowieka, a więc nie tylko budowle, meble, ale nawet ubiory. Mocno zaznaczeni przy tym, że właściwie między

rzemiosłem a sztuką nie ma istotnej różnicy, wysuwali zasadę jedności sztuki i techniki. Gropius i jego najbliżsi współpracownicy jako pierwsi pojęli mówić i wcielić w życie zasadę funkcjonalizmu przedmiotów użytkowych. Ładne było dla nich to co jest funkcjonalne. Dzisiaj wiele z haseł o które walczył Gropius uważamy za oczywiste i słuszne, wówczas jednak były one nowością, a wyszkolone w „Bauhausie” kadry artystów upowszechniły w rozmaitych krajach pojęcia mistrza. W „Bauhausie” studiowali nie tylko Niemcy, polowa uczniów to była młodzież z wielu krajów. Byli tam Amerykanie, Anglicy, Czesi, Japończycy, Polacy, Skandynawowie i stosunkowo niewielka liczba Francuzów. Wśród kadry profesorów i entuzjastów Gropiusa byli artyści tej miary co Kandinski, Moholy-Nagy, Klee, Feininger.

W roku 1926 szkoła przenosi się do Dessau, ale jej żywot jest już krótki. W roku 1933 hitlerowcy wkraczają do gmachu, z okna

wywieszają swastykę. I to już jest koniec „Bauhausu”. Gropius wyjeżdża do Ameryki.

Retrospektywna wystawa „Bauhausu” jaka odbywała się w Paryżu pozwalała po raz pierwszy poznać się z dorobkiem szkoły w ujęciu chronologicznym i systematycznym. Dotąd osiągnięcia „Bauhausu” znane były jedynie fragmentarycznie, teraz zaś widzowie mogą je poznać i ocenić w całości.

NAGRODY PULITZERA

Norman Mailer, który przed dwudziestu i jeden laty był laureatem literackiej nagrody Pulitzera otrzymał tym razem tę nagrodę za reportaż z cześć dni protestu w Waszyngtonie przeciwko wojnie w Wietnamie.

Norman Mailer urodził się w 1923 roku w Long Branch (New Jersey) w Stanach Zjednoczonych. Jest synem kupca. Z wykształcenia Mailer jest dyplomowanym inżynierem. Podczas drugiej wojny światowej walczył na Filipinach i Japonii, po wojnie studiował w paryskiej Sorbonie. Rozgłoszono, że otrzymał swą książkę pt. „The Naked and the Dead” (1948, Nadszy i zmarli), w której ostro krytykował militarizm.

Treścią książki są przygody i przeżycia amerykańskiego oddziału zwiadowczego na zajętej przez Japończyków wyspie na Pacyfiku. Za tę właśnie książkę Mailer otrzymał w roku 1948 literacką nagrodę Pulitzera. Następną jego książką, która wzbudziła duże zainteresowanie była „The Deer Park”, w której autor przedstawił ekscentryczne obyczaje w kolonii artystów położonej w pobliżu Hollywood i wskazał na wpływ jaki miał McCarthyizm na słab-

sze charaktery ludzkie. Prócz tych dwóch powieści Mailer napisał jeszcze kilka.

W dziale beletrystyki na grodzie Pulitzera otrzymał w tym roku Indianin, N. Scott Momaday, za swój debiut powieściowy pt. „House made of dawn”. Jest to historia Indianina, kombatanta II wojny światowej, który wróciwszy po wojnie do swego szczeru nie może się przystosować do życia „w cywilu”.

Nagrodę w dziedzinie prasy otrzymał reporter z „Los Angeles Times”, William Tuohy, za reportaż z Wietnamu.

Fotograf z Associated Press, Edward T. Adams, otrzymał nagrodę w dziedzinie fotografii dokumentalnej za zdjęcie dokonanej w Sajgonie egzekucji na partyzantach Wietnagu.

W dziedzinie teatru na grodzie przyznano Howardowi Sakler za jego sztukę pt. „The Great White Hope”, w której przedstawił życie czarnego mistrza boksu Jacka Johnsa.

Każda z nagród Pulitzera wynosi 1.000 dolarów.

HISTORIA FOTOGRAFII

W jednym z wydawnictw paryskich ukazała się obszerna i barwnie ilustrowana „Historia fotografii”. Autorem książki jest Emmanuel Sougez, który omawia wagę, skutki i sens wynalazku dokonanego 130 lat temu.

Dziś nikt nie może negować faktu, że fotografia stała się jednym z środków artystycznego wyrazu. Fotografia zrealizowała marzenia ludzi wszystkich czasów — tęsknotę do utrwalenia w sposób dokładny obrazu otaczającego nas świata. Autor, w porządku chronologicznym, cofnąwszy się jeszcze do wieków kiedy fotografia nie istniała, opisuje rozmaite sposoby jak najwczesniejszego odtwarzania obrazu, modela czy widoków. Następnie kreśli historię narodzin i rozwoju fotografii. Ostatni rozdział książki poświęcony jest fotografii jako sztuce.

W STULECIE „LISTÓW Z MOJEGO MLYNA”

W Nimols, mieście rodzinnym Alfonsa Daudeta, odbyły się uroczystości w związku z setną rocznicą publikacji jego książki pt. „Listy z mojego mlyna”.

Dom wielkiego pisarza pozostaje nadal pod opieką jego rodziny i nie zmienił się od czasów urodzin Daudeta w roku 1840. W budynku tym mieści się dziś towarzystwo asekuracyjne.

ZMARŁ OSBERT SITWELL

W wieku lat 78 zmarł we Florencji angielski pisarz Osbert Sitwell. On, jego brat Sachaverell Sitwell i ich siostra Edith Sitwell (zmarła w roku 1964) tworzyli pisarskie trio, które odegrało znaczną rolę w życiu literackim Anglii. Rodzeństwo to napisało wiele esejów, opowiadań, poematów i powieści.

Sławę Osbertowi Sitwell przyniosło jednak jego pięciotomowe dzieło autobiograficzne publikowane w latach 1944-48. W książ-

ce tej sir Osbert Sitwell przedstawił dzieje nie tylko swego życia i swej rodziny, ale dał żywy obraz obyczajowości, zwłaszcza arystokratycznych sfer londyńskich w pierwszej połowie naszego wieku.

250 LAT ROBINSONA CRUSOE

W kwietniu 1719 roku ukazała się książka anonimowego autora pt. „Robinson Crusoe”. Opowieść o losach rozbitka uzyskała wielki sukces, toteż w następnych wydaniach widniało już nazwisko autora — Daniel Defoe.

Od kwietnia 1719 roku do dziś ukazała się niezliczona ilość wydań „Robinsona”, jego tłumaczeń i nadsłownictw t.zw. robinsonad. W roku 1898 niemiecki badacz Ulrich stwierdził, że w latach 1719-1898 ukazało się 196 wydań w języku angielskim, 110 przekładów w 23 językach i 277 robinsonad. Według opracowań wydanych przez UNESCO obecnie ukazuje się co rok około 20 nowych tłumaczeń „Robinsona”.



Wasiliew i Maksimowa w Operze Paryskiej

TANCERZE Z MOSKIEWSKIEGO TEATRU WIELKIEGO W PARYŻU

Prasa francuska nie szczędzi słów zachwytu dla pary małżonków, słynnych tancerzy moskiewskiego Teatru Wielkiego, Od tamtego czasu są po raz drugi w stolicy Francji. Maksimowej i Władimira

Wasiliewa, którzy dali trzy występy w Operze Paryskiej. Małżonkowie mają po lat 29. Wasiliew i Maksimowa odbyli przed sześciu laty swą podróż poślubną, przyjeżdżając do Paryża, co nie bez dumy podkreśla prasa francuska. Od tamtego czasu są po raz drugi w stolicy Francji.

Bez strachu

O B E C N O Ś Ć

Każdego ranka i niejednemu, kiedy zaczynam się budzić i nie jestem jeszcze dobudzony do pełnej jawy, wyciągam rękę i kładę dłoń na ścianie. W pierwszej z tych cennych sekund nie wiem jeszcze, że to jest ściana — jawa ręki poprzedza jawę ściany, ale w sekundzie kiedy odpoznalem ścianę — przygotowuję się do wołania Matki, Ojca, Ciotki — pragnę ich powitać, zapytać jak im się spało — mieszkam wydaje się wypełnione ich postaciami — pełne ich ciepła, ich niesłychanych oddechów. Są to najbliższe sekundy mojej doży, wtedy kiedy niedobudzony wierzę w życie zmarłych — nie jest to wcale wiara metafizyczna — ja po prostu nie pamiętam wtedy o ich śmierci i przez sekundę przeżywam wspólne istnienie ze zmarłymi. Po chwili przechodzę do pełnej jawy przypominam sobie kolejno ich śmierć i tych którzy umarli zamordowani przez Niemców i tych, którzy zginęli w szpitalu, których zwłoki odkrywaliśmy (były zakryte białym płótnem) i całowaliśmy ich w czoło. Przypominam sobie wykopane doły grobowe i garść ziemi, którą rzuciłem na wieko opuszczonej już trumny. Jestem już całkowicie zbudzony i całkowicie samotny, zdejmuję dłoń ze ściany i wyskakuję z łóżka. Myję się, ubieram, biegam po mieszkaniu, szukając potrzebnych na ten właśnie dzień przedmiotów. Wkładam do zniszczonej teczki brulion, w którym będę pisał, książki, które próbuję zrozumieć. Nie rozumiem jednak własnego, pustego doświadczenia. Kiedy przekraczam klucz w zamku, zamykam największą tajemnicę. Wszędzie, gdzie przychodzę w ciągu dnia ludźmi mnie poznają, współpracują ze mną, akceptują moją kompletną obecność. Wszyscy zapewne wiedzą, że o własnej sobie porze sypiam, nikt jednak nie wie o owych sekundach budzenia, w których nie pamiętam o śmierci najbliższych — dlatego właśnie o nich napisałem — by umożliwić innym żyjącym samokontrolę, zbadanie u siebie podobnych stanów. Co do mnie mam jeszcze wiele podobnych tajemnic i zamierzam je ujawniać, ale każda tajemnica wymaga oddzielnego felietonu. Są zresztą takie tajemnice, które trudno pomicieć na wet w stu felietonach i taka stu felietonowa tajemnica najgłębsza. Podejmuję się i ją ujawnić, potrzeba mi jednak czasu i miejsca. Tymczasem chodzę w ciągu dnia — ręka, którą dotykałem ściany pracuję — myślę, wiele wiemy o jawie, niejedno o śnie, a prawie nic o budzeniu. A właśnie wtedy choć przez jedną sekundę wznosimy się ponad czasem, sekunda przestaje być sekundą, zmierzamy do przodu, budzący się też wydaje się nieśmiertelny, można zginąć w czasie snu, w czasie jawy, w czasie zasypiania, ale nigdy w czasie budzenia — budzenie to moment wrota do życia, kiedy z jednej strony jest dotykana już ściana, a z drugiej wszystko co kiedykolwiek istniało, a istniało przecież tak wiele. Z każdym rokiem zwiększa się liczba moich zmarłych, z każdym rokiem trudniej mi poznawać nowych żywych, narodzonych i wyrosłych pod moim okiem.

BERNARD SZTAJNERT

str. 11

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

SEJM I LUDZIE PIÓRA

POSEL FREDRO I RADNY ASNYK — „POTYCZKI” MACHEJKA — MOWY SEJMOWE JANA Z CZARNOLASU — KTO ZASIADZIE NA WIEJSKIEJ? — A ŁÓDŹ?

Przeglądam majowy komplot „Trybuny Ludu” — studiuję szeregi nazwisk kandydatów na posłów. Co chwila do mojego notatnika trafiają personalia z Białegostoku. Rzeszowa, Poznań... Moja penetracja jest specjalnego rodzaju — szukam bowiem nazwisk ludzi pióra. No cóż — mógłby ktoś powiedzieć — taka sobie zabawa i nic z niej nie wynika... Nieprawda. Do spojrzenia pod tym właśnie kątem na listę kandydatów upoważnia mnie Historia. I to zarówno Historia Literacka jak i Historia Polski.

„Powrót posła” — pierwsza polska komedia polityczna o nieprzemijającej wartości. Jej autorem był przecież poseł Julian Ursyn Niemcewicz, współautor projektu Konstytucji 3 Maja, biorący czynny udział w pracach Sejmu Wielkiego, służący swym piórem sprawie postępu.

Albo Adam Asnyk. Był nie tylko radnym miasta Krakowa, ale od roku 1889 posłem na sejm krajowy galicyjski. A jeśli cofniemy się dalej w głąb historii i nie będziemy się trzymać ściśle formalnych kryteriów to przecież i Jana Kochanowskiego da się zmieścić w temacie „Sejm i ludzie pióra”. Co prawda posłem nie był, ale swym piarstwem włączył się w walkę polityczną. Dwa jego utwory („Zgoda” i „Satyr albo dziękuję”) wykazują wyraźną zbieżność treściową z przemówieniami wygłaszanymi na sejmach 1563 i 1564 w królewskim imieniu przez podkanclerzych Myszkowskiego i Padniewskiego...

Posłowali do sejmu także Mikołaj Rej i Aleksander Fredro — ten pierwszy wielokrotnie, piarstwo swoje uważał zresztą za odpowiedzialną mi-

się społeczną; ten drugi dwukrotnie, do sejmu galicyjskiego oraz do „pierwszego Sejmu Krajowego”.

Pisarskie tradycje sejmu we są zatem niemałe — także i w ciągu 25-lecia w dostojnym gmachu na Wiejskiej zasiadali w każdej kadencji ludzie pióra. Choćby Jan Wiktor, który zasiadał w pierwszym parlamencie Krajowej Rady Narodowej, choćby Adam Polewka, czy historyk literatury i profesor UJ Kazimierz Wyka... Albo Iwaszkiewicz, albo Putrament, albo Czesko...

I wreszcie Władysław Machajek, który ze swej poselskiej działalności stworzył właściwie specjalny rozdział pracy pisarskiej i publicystycznej. „Potyczki poselskie” — blisko 400-stronicowa książka wydana w tym roku mogłaby być na dobrą sprawę instruktażowym podręcznikiem posła-pisarza i pisarza-działacza. Jest w tej książce owa rejonowa postawa traktująca piarstwo jako służbę społeczną.

„Będąc politykiem nie instytucjonalizowanym — pisze Machajek — politykę traktuję tylko jako wykładnię i przerabianie na życie ideologii socjalistycznej (...). Dużo energii wydawałem w piarstwie, bardzo często interweniowałem i dlatego nierzadko kontrowersyjnym. W ten

sposób raz po raz składam hołd mojej walczącej ideologii”.

Pod tymi słowami podpisać mogłoby się wielu polskich pisarzy bez różnicy czy dzierżą poselskie mandaty czy nie — ale właśnie Machajek jest tym najbardziej wyrazistym przykładem pisarskiej służby społecznej w oparciu o poselski mandat.

Wróćmy jednak do majowego kompletu „Trybuny Ludu”, do tych szeregów nazwisk, z których przepisywałem do swego notatu personalia ludzi pióra. Ciągłość pisarskich tradycji sejmowych została i w tej kadencji zachowana.

Prawie nie ma województwa, w którym na listach kandydatów brakoby ludzi pióra — pisarzy, publicystów, wydawców, dziennikarzy... W Białostockiem kandyduje redaktor naczelny miejscowego miesięcznika społeczno-kulturalnego Krystyna Marszałek. W Poznaniu pisarz Marian Kubiś, w Krakowie (oczywiście) Władysław Machajek, w Katowicach Wilhelm Szewczyk oraz redaktor naczelny „Trybuny Robotniczej” Maciej Szczepaniak...

Kandyduje także wydawca — w Rzeszowie Stanisław Wroński — prezes wydawnictwa „Książka i Wiedza”, w Bydgoszczy prezes Ludowej Spółdzielni Wydawniczej — Mieczysław Grad.

Po wieloletnim pobycie

na placówce w Meksyku, wrócił do Polski opolanie Edmund Osmańczyk i kandyduje ze swego rodzinnego Opola. Jan Gerhard — pisarz, redaktor naczelny „Forum”, ongi officer walczący z bandami UPA na południowych rubieżach Polski wraca jako poseł w swoje Bieszczady, gdzie zostawił część swego wojennej młodości i o których napisał znaną książkę „Łuny w Bieszczadach”...

Z województwa warszawskiego kandyduje na posłów dwaj „naczelni w sukmanach” — Mieczysław Róg-Swistek — redaktor naczelny „Chłopskiej Drogi” i Feliks Starzec — redaktor naczelny „Zielonego Sztandaru”. Naczelny „Trybuny Ludu” Stanisław Mojkowski kandyduje z Koszalińskiego razem z pisarzem — publicystą Zbigniewem Żukowskim... W województwie lubelskim kandyduje nawet aż trójka publicystów — Tadeusz Mazowiecki, Władysław Kuszyk i Helena Dąbska — redaktor naczelny pisma „Gospodyni”.

Napisałem wyżej, że „prawie nie ma województwa w którym na listach kandydatów brakoby ludzi pióra”. To prawda. Prawie nie ma... Ciągłość pisarskich tradycji sejmowych zachowała się i w płacie już kadencji polskiego parlamentu.

A Ł ó d Ź ?...

JERZY WIDOK



Pies stale przynosił jakieś rzeczy do domu. Tym razem był to zielony filcowy kapelusz z małym piórkiem — bardzo podniszczony kapelusz. Pies, którego zwano Leonardem, przyniósł go poprzez polną posiadłość Blainów i oddał Marciniowi Olds, ścinającemu właśnie trawę na łące.

— A cóż to? — spytał Marcin. Pies uśmiechnął się, szeroko otwierając paszczę. Olds sięgnął po kapelusz, lecz Leonard zawarczał.

— Nie — powiedział stanowczo Olds — tak nie można.

To był przecież kapelusz Johna Adamsa — jedyne nakrycie głowy, jakie John kiedykolwiek posiadał. Gdy Marcin był małym chłopcem John nosił ten sam kapelusz i dwadzieścia lat nie zmieniał ani razu nakrycia głowy.

Adams, dozorca posiadłości Blainów, miał na głowie ten kapelusz jeszcze dwa dni temu, gdy Marcin spotkał go po trzech latach niewidzenia. Adams odwiecznym ruchem zdjął kapelusz, otarł czoło i powiedział: „Halo, panie Olds. Wrócił pan na statek?”

Marcin powiedział, że raczej nie i już miał się zapytać o zdrowie panny Blaine, gdy uprzytomnił sobie, że Nancy już od trzech lat nie była panną Blaine.

Trudno było wyobrazić sobie kapelusz Johna Adamsa, bez jego twarzy. Lecz teraz kapelusz był pusty, z wyjątkiem źdźbła trawy, przylepionych do niego. Marcin obracał kapelusz w swoich mocnych spalonych słońcem Afryki rękach.

Kapelusz był brudny, co było rzeczą naturalną. Lecz w środku wbiła się ziemia. Kapelusz wyglądał tak, jak gdyby Leonard zakopał go i potem znowu wykopał.

Marcin długimi krokami ruszył w stronę żywopłotu, lekko go przeskokczył i znalazł się na drodze obsadzonej młodymi warzywami. Warzywa starego Johna rozwijały się zawsze dobrze i wcześnie. Za grządkami widać było kwadrat brzozy, rozdrapanej ziemi, na której nie rosło — a w środku był ten rodzaj dziury, jakie kopie pies, który czegoś szuka.

Marcin Olds przeszedł pomiędzy grządkami i spojrzął w głąb dziury. Nagle zaklął i przyklęknął, rozdrapując zie-

mię paznokciami. Nie musiał długo szukać — tylko tyle, aby się upewnić, że w bucie tkwiła noga. Marcin puścił się biegiem z powrotem choć wiedział, że żaden pośpiech nie tu już nie pomoże. Dochodziła piąta, gdy dobiegł do domu swej siostry, który był bliżej niż dom Blainów. Policja zanotowała, że telefon jego na stąpił dokładnie o godzinie 4.53.

* * *

Karol lubił, aby była piękna wymuskana i uśmiechnięta w chwili, gdy powracał do domu. Była obrazem i symbolem kobiet, oczekujących mężów, którzy wracają z pracy. Nancy Compton przygotowała się na rytuał powrotu nieco po piątej tego czwartkowego popołudnia, czując śmieszność swoich przygotowań. A przecież go kochała — mówiła sama do siebie z determinacją. — Pragnę tego, co on pragnie, chcę być tym ładnym obrazkiem kochającej żony. I on na pewno kocha mnie bardziej, niż obrazek, który dla niego szuka.

Wyciągnęła się w swej uroczej sukni na jednym z krzeseł na tarasie tak, aby mógł ją już z daleka zobaczyć. Była zgrabna i smukła, nogi miała opalone — stanowiła doprawdy ładny, prawdziwy obraz młodej, czekającej kobiety. — Nie mam przecież żadnych wątpliwości — myślała — żadnych prawdziwych wątpliwości. Wykolejała mnie różne drobne rzeczy, może nie jestem całkiem zdrowa. Skąd to stałe uczucie zimna? To chyba wszystko tylko moja fantazja.

Nie miała powodu do niepokoju dlatego, że stary John Adams od dwóch dni nie pokazał się u niej. Nie miała mu nie specjalnego do powiedzenia. Zajmował się całą posiadłością od dwudziestu pięciu lat. „Sam najlepiej wiesz, co robić” — mawiał jej ojciec i nikt nie wątpił, że Artur Blaine miał rację. Czasami stary John całymi dniami nie pokazywał się koło domu, był daleką postacią, grablącą lub ścinającą trawę, albo zasadzającą świeże klomby. Ale od czasu śmierci Artura Blaine stary John przychodził bardzo często — czasami kilka razy dziennie, pod byle jakim pretekstem.

Nancy wzruszało to opiekuńcze uczucie, które jej okazywał. Ona sama uważała, że Karol nie musi pracować w mieście, to co jej rójcie im pozostawił starczyło na dostatek. Ale Karol stworzył z siebie obraz (tak samo, jak stworzył obraz z niej) i nie mogło skłonić go do zmiany pojęć, jakie sobie wyimaginował — był wielkim przedsiębiorcą w swoim własnym pojęciu.

Tak, to było wzruszające.

Stary John pilnował jej jak małego dziecka. Zdziwiał, że dwa dni go nie było. Probowała nawet zadzwonić do niego, ale nikt nie podchodził do aparatu.

I jeszcze coś przyczyniało się do lekkiego uczucia niepokoju, którego nie mogła się wyrzucić. Powrót Marcina Oldsa. To nie był powrót, a jedynie wizyta u siostry. I nie mogło mieć żadnego znaczenia. Ale że jej nawet nie odwiedził dowodziło, że nie zapomniał, iż kiedyś wybrała na męża Karola, a nie jego, Marcina. Ale przecież mogli być nadal przyjaciółmi.

Właśnie wtedy zajeżdżał Karol swym wozem najnowsze go typu. Zgodnie z ustalonym zwyczajem uniosła się z krzesła, przy czym ręką zawadziła o metalową poręcz. Jakże źle wykonywali teraz meble! Poręcz była nadłamana i ręka, którą się opierała, nagle spłynęła krwią.

— Oh, ty moje biedactwo — Karol podbiegł do niej. — Nie można tego lekceważyć. Zaraz zrobię ci opatrunek — wyciągnął chusteczkę i pobiegł do domowej apteczki po dezynfekujący środek. — Obwiążę ci rękę.

— Popsułam mu cały powrót — pomyślała Nancy, patrząc jednocześnie ze zdziwieniem na krew, którą pokryta była poręcz krzesła. Jej własna krew!

* * *

John Adams był barczystym, zdrowym mężczyzną w wieku około 70 lat. Miał duże, mocne ręce. Kula tkwiła w samym środku serca. Pochowany był w dużym, nowo założonym klombie asparagusów. Wykopano dół, wyjęto korzenie, wsunięto pod nie zwłoki, korzenie wsadzono z powrotem, wyglądano klomb. To wszystko było jasne dla kapitana Heinricha z nowojorskiego oddziału kryminalnego.

— To nawet dobry pomysł — myślał — miejsce, którego nikt przez całe lata nie ruszył — pochylił się i wziął do ręki garść ziemi. Wciągnął w siebie jej zapach. Maczka kostna. Nie wszystko było przy padkiem. W pewnym sensie pies został wręcz zaproszony tutaj.

Wszyscy lubili starego Johna, wśród sąsiadów miał samych przyjaciół. Oprócz jednego, który był uzbrojony w rewolwer.

Trzydzieści lat pracy na posiadłości Blainów. Adams był nieomal instytucją, prawie taką, jak sam Artur Blaine.

Karol Compton, który poślubił Nancy Blaine, dostał do ręki niezły majątek. Nie był to wielki człowiek, dojeżdżał stale do swego miejskiego biura, choć był obecnie dość młody, aby nie robić. Wszyscy uważali go za porządnego człowieka.



Lecz nie o tym myślał kapitan Heinrich, idąc wzdłuż drózek pięknie utrzymanego sadu. W domku Adamsa panował idealny porządek — to nie tutaj znalazł go morderca.

Niedaleko znajdowała się szopa z narzędziami, donicami — cały warsztat starego ogrodnika. Tutaj został zamordowany. Podłoga jeszcze oyla wilgotna od śladów zmiennej kwi. W kącie stała szafa ze zlaną kłódką. A więc tak proste było to morderstwo: złodziej, który nagle stał się mordercą. Dlaczego? Cóż było w szafce ze zlaną kłódką? Skarby starego człowieka?

Heinrich otworzył nadszarpane drzwi. Środki owa dobójce i grzybówkoje. Puszki i pudełka. Na wielu z nich duży napis „Trucizna”. Dlatego wisiła tu mocna kłódka — ogrodnik dbał o często nachodzące go dzieci. Tal, trucizna na gąsienice, dwuchłerek rteci — starczyłoby na wymordowanie wielu ludzi. Ale morderca szukał widocznie czegoś specjalnego, skoro tych trucizn nie ruszył. A cóż to za butelka? Poł pusta, której zawartość przy poruszeniu wyglądała jak rozpuszczone mydło? Tak, nikotyna w roztworze mydłanym. Środek przeciw mszycom. A więc tego widocznie szukał morderca... Kapitan ruszył szybkim krokiem w kierunku wielkiego domu Blainów.

* * *

— Zawsze wszystko psuję — myślała Nancy Compton, lykając z trudem tradycyjne martini — Dlaczego tak mnie męli? Dlaczego to zadrapanie na ręku tak bardzo boli? Dziwne,

przecież środek dezynfekujący jest bardzo łagodny.

— Jak się czujesz, kochanie? — spytał Karol, który właśnie zmienił swoje miejskie ubranie na wiejską marynarkę. Nagle zamknął. Przed dom podjechała wielka limuzyna, z której wysiadło dwóch mężczyzn, jeden w cywilu, drugi w mundurze.

— Policja stanowa — przedstawili się. — Mamy złe wiadomości. John Adams został zamordowany. Znalezione go w...

Heinrich przyglądał się Comptonowi. Nancy doprawdy była ładna. Trochę za blada, i te rozszerzone źrenice...

Nancy zadrżała, pochyliła się. Trzej mężczyźni rzucili się jej na pomoc. Lecz najszybszy był Heinrich. Posadził młodą kobietę na krześle, a potem uniósł jej obandażowaną dłoń. Pachniała dwuchłorkiem rteci.

— Zawieź ją do szpitala. I to prędko! — ryknął do swego towarzysza.

— Pojadą z nią — odezwał się Compton — własnym wozem za nimi.

— Nie, panie Compton — powiedział twardo kapitan — najpierw odpowie pan na kilka pytań. Adams został zastrzelony. Chciałbym znaleźć ten rewolwer.

Niektórzy ludzie są nierozumni. Takim głupim krokiem była próba ucieczki Comptona.

— Maczka kostna. Gdy się sady asparagusy, trzeba je głęboko zakopywać. A maczka pachnie kością, każdy pies ciągnie w tym kierunku. Gdzie jest pana rewolwer, panie Compton?

Bez trudu znaleźli rewolwer. Heinrich opowiedział o tym Marciniowi Olds, podczas gdy obaj czekali na orzeczenie lekarzy.

— Mężczyźni żenią się dla pieniędzy — mówił Heinrich — czasem zabijają dla zdobycia fortuny. Adams coś podejrzewał. Obawiał się o panią Blaine. Dlatego złożył kłódkę tam, gdzie stały trucizny. Wrócił w chwili, gdy Compton starał się ją wyważyć i dlatego został zabity.

— Nikotyna? W jej cocktailu?

— Nie, nie w cocktailu. Wprowadzona do krwi poprzez opatrunek. Łatwo się absorbuje. I jest śmiertelnym środkiem, o ile ratunek nie nastąpi natychmiast.

W drzwiach ukazała się uśmiechnięta pielęgniarka.

— Wszystkie będzie dobrze — powiedziała — jedna osoba może teraz do niej wejść.

Pierwszeństwo miał oczywiście Heinrich. Ale na białym spojrzeniu Marcina skinię przyzwalał go głową.

Tak, teraz wszystko ułoży się jak najlepiej. Nancy wróci do wernego Marcina. Śmierć starego Johna, jak czynnik katalizacyjny, przyspieszy wiele rzeczy. Czym Karol Compton wzbudził podejrzenia starego Johna? Tego nie dowiedzą się nigdy. Ale starzec wygrał tę trudną grę, choć zapłacił za to własnym życiem. I oczywiście starannością z jaką uprawiał klomby, nasycając je maczką kostną, która uwzniośnia korzonki roślin, ale za to przyciąga psy, więc trzeba ją kłaść głęboko pod powierzchnię ziemi. O tym morderca nie pomyślał.

Opr. J. K.



GDY W OGRODZIE BOTANICZNYM...

Lewym okiem

— A polski bez jak pachniał w maju! — pisał Tuwim, osaczony tęsknotą za krajem, w dalekiej Brazylii. A mamy właśnie maj i pachnie polski bez wzdłuż wiejskich płotów, całe wonne, zielono-lila wwozy bzu, i pachnie na rogach łódzkich ulic w rękach przekupek, i w wazonach na naszych mieszczańskich stołach. Nie żadne tam wyrafinowane orchidee i kalie, nie wynaturzone kaktusy, ani nawet cieplarniane, melancholijne róże — tylko właśnie ulamana zwyczajnie z krzaka gałąź bzu z kiścią twardych jak śrut kwiatyczków, mokrych od rosy, z tym zapachem, który czujesz od razu na sam dźwięk słowa: bez — najładniejszy atrybut naszej pełnej, dojrzalej wiosny!

Polski to on tak bardzo nie jest. Dopiero ponoć sto lat temu zaczęto go po ogrodach sadzić, ściągawszy z Bałkanów. Rozrósł się momentalnie po całej Europie, pełno go wszędzie. Ale to nie. Sam widywałem nieraz aleje kwitnących bzów, które nie były bzami, tylko ich przypomnieniem: prawdziwe zostały w dalekiej wtedy Polsce. Gorzej, że ten bez podobno nie ma wcale „podstawy prawnej” do swej pięknej nazwy. Przybrał ją po innej roślinie, znanej od tysięcy lat naszym przodkom, po prawdziwym bzie, tym

pachnącym silnie i niezbyt pięknie, dającym później wielkie grona czarnych jagodek. Tamte krzaki były dopiero rasowym bziem z rodowodem od wielu pokoleń. Tamte sadzono przy każdym domu, chacie, lepiance, traktując je jako absolutnie niezbędny rekwizyt ludzkiego pomieszkania, ludzkiej — jak to się dzisiaj mówi — stabilizacji.

„Dziki” bez, a raczej ten właśnie naprawdę od stuleci oswojony, pełnił wieloraką rolę w życiu rodziny słowiańskiej, a także — co wydaje się ciekawym zjawiskiem obyczajowym, świadczącym o jakiejś ogromnie odległej w czasie wspólnoty niektórych wierzeń, mitów, przesądów — w rodach germańskich, litewskich, maziarskich. W Westfalli odkrywano głowę, przechodząc koło kwitnącego, czarnego bzu. Na naszych ziemianach wycięcie lub wykopywanie krzaków bzowych było możliwe dopiero po wyrzuceniu uprzednich przeprosin pod adresem „odnośnego” krzaka. Gałęzie bzu, położone pod stertą zboża, chroniły ziarno przed myszami. Drewnem bzowym wolno było palić wyłącznie w piecach chlebowych.

„Święty bzie, weź moje boleśnie pod swoje zdrowe korzenie —”

mówiło się, wylewając na krzak bzu wodę po kąpiel chorego dziecka. Jeśli ktoś miał brodawki — liczył je i nacinał odpowiednią ilość karbów na gałęzi bzu. Wystarczyło o świecie iść w milczeniu nad rzekę i rzucić tę gałąź na wodę — brodawki zniknęły, jak ręką odjął. Sok z korzenia dawał piorunujące skutki: tarty z góry na dół — przeczyszczał, tarty z dołu do góry — powodował wymioty. Nie wiem, czy dzisiejsze czarne bzy zachowały tę właściwość. Może im się sprzykrzyło, może się przekwalifikowały.

Nie wiem, czy jada ktoś jeszcze powidła z jagód czarnego bzu. Moda się zmienia, nawet mo-

da na zapachy. Paskudną dla nas woń białych baldachów i czarnych owoców „dzikiego” bzu uważano dawniej za bardzo piękną i miłą, a powidła dawały długowieczność, o ile ktoś zbyt wcześnie nie umarł. Jeśli umarł — stawało się na grobie, na przykład w Tyrolu, krzyż z gałęzi bzowych. Cała rodzina się cieszyła, kiedy z gałęzi wyskoczyły nowe, żywe pędy. Wróżono sobie z tego, niestety, nie wiemy, co mianowicie wróżono.

O bzach pisze się setki wierszy i tysiące piosenek. Można by doktorską pracę napisać o motywie bzu w polskiej poezji miłosnej. O roli bzów w przesądach i obyczajach ludowych pisało tylko dwóch ludzi, a może nawet jeden: znakomity socjolog i etnograf Erazm Majewski w roku 1900 w „Wiśle”, i również znakomity etnograf E. Kolbuszowski — w roku 1895 w „Ludzie”. Obaj pisali prawie dosłownie tak samo, co mogłoby świadczyć o tym, że siedemdziesiąt lat temu ludzie nie byli zbyt uczuleni na tak zwany plagiat, nie istniało prawo autorskie i żaden Zaiks nie łapał piszącego za słowa.

Ale bardziej prawdopodobnym jest — czego nie zdołałem sprawdzić — że E. Kolbuszowski to pseudonim E. Majewskiego. A to znów z kolei świadczy o tym, że siedemdziesiąt lat temu — tak samo jak dziś — przyjętym było sprzedawać ten sam artykuł różnym pismom pod różnymi tytułami, tyle że nie częściej niż raz na pięć lat. To nie są jednak wiosenne sprawy. Wiosenną, majową sprawą jest, że:

„Bzy gęsto sterczą sztorcem,
grubozłaziste i mokre,
stokrotnie, gotowym wierszem radośnie
rozrósł się bzy...”

ĆWIEK